

15
14
13
12
11
10
9
8
7
6
5
4
3
2
1
0

WSPOMNIENIA MISSYJNE

z roku 1846.

przez

X. Karóla Antoniewicza.



II 256

POZNAŃ.

Nakład i druk A. Poplińskiego.
1855.

1020. K. 1488

0 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIWERSYTETU A.M. w POZNANIU

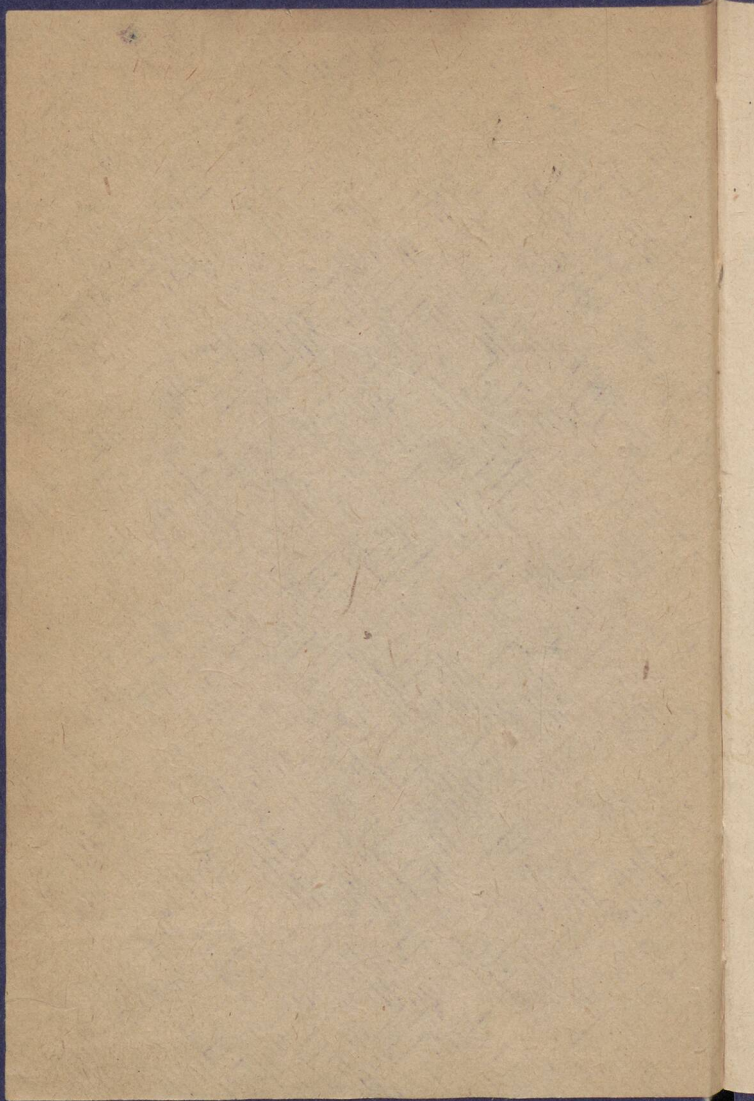


227389

**Wypożycza się
tylko do czytelní**







WSPOMNIENIA MISSYJNE

z roku 1846.

przez

X. Karóla Antoniewicza.



II 256

POZNAŃ.

Nakład i druk A. Poplińskiego.
1855.

1020. K. 1488

MISSYNE

227389.7

X. Antologia Antyczna



POZNAN

Naczelny i druk A. Popliński

1855

1950. R. 1458

Czyniąc zadosyć życzeniom R. P., biorę pióro, aby w krótkości skreślić obraz sześć-miesięcznej pracy naszej Missyonarskiej w nieszczęśliwych okolicach Sandeckiego, Tarnowskiego i Boheńskiego obwodu. Ale niestety cóż mogę napisać? W ciągłej pracy i nateżeniu wszystkich sił tak umysłowych, jak i fizycznych zostając, nie miałem pod ów czas wolnej chwili pojedyncze zdarzenia i wypadki notować, za nadto spuszczając się i zawierzając pamięci, która niestety zdradziła mnie. Wiele, bardzo wiele uczyniło się za łaską i pomocą Boską na zbawienie dusz ludzkich, i może nie małym zapobiegło się bezprawiom, o czym Bóg tylko wie. Tajemnice spowiedzi, na ostatnim sądzie, okażą miłosierdzie boskie! Ci nawet, którzy mało, lub żadnych skutków nie obiecywali sobie z opowiadania Słowa Bożego, z podziwieniem wyznać musieli moc wiary nad sercem ludzkim, że ona jedna jest w stanie rozhukane tłumy do porządku i poprawy przyprowadzić, że brak wiary jest źródłem i początkiem wszy-

stkich nieszczęść i zbrodni, jak się w tych czasach okazało. Bo wiara, która daje życie duszy, była, jakoby całkiem wygasła i tylko czcze formułki pozostały, które zaiste tyle mocy nie mają, aby obudzone wstrzymać namiętności. Chęci zysków, wygod i dostatków, zemście, pijaństwu, rozpuszcie wszelkiego rodzaju gwałtownie obudzonej, (którychto namiętności zaród drzymał ciągle w sercach ludu opuszczonego i nieoświeconego), wszystkie wodze wolno puszczzone zostały! Lud, czując się wolnym po kilkowiekowej niewoli, chciał téj wolności użyć; nieumiejąc jój użyć na dobre, użył na złe. Nie widząc nad sobą żadnego prawa, zdeptał wszelkie prawa. Nie doznając nad sobą karzącej ręki sprawiedliwości boskiej, podniósł rękę na Boga samego. I ten lud, co przed miesiącem, zbierał się tak pobożnie do kościołów i tak przykładowie się w nich zachowywał, napadał zbrojną ręką te domy boże, szydząc i bluźniąc, to, co dotychczas czcił i szanował; łamał i deptał te krzyże, przed którymi kolana swoje ugiął; znieważał Przenajświętszy Sakrament, na którego wspomnienie, przed parą dniami, wzdychał i bił się w piersi! A powstawszy tak zuchwale przeciwko Bogu, cóż dziwnego, że nie szczędził ludzi? Zbrodnia stała mu się po-

trzebą, mordował bez żadnej osobistej zemsty, bo miał uciechę broczyć w krwi ludzkiej; pustoszył bez chęci zysku, bo miał roszkować na spustoszenie. Chciał swęj wolności, chciał się przekonać, czy w istocie wolnym jest! W jednych zepsucie oddawna zaszczipione i chęć do zbrodni powagą prawa wstrzymywana, widząc tę zaporę usuniętą, wydała w oka mgnieniu krwawe owoce; u drugich, sumienie pierwszą zbrodnią wzruszone, w tym zamęcie nie widząc żadnej porady, chciało zbrodnię zbrodnią przysłuszyć, lejąc w siebie zabijający trunek. Nie chcę tu wspomnieć o zewnętrznych wpływach, które ten lud przez tyle wieków spokojny, uległy, cierpiący, pobożny, zamieniły w kanibalów krwawych; pchnęły w przepaść, z której nie tak łatwo się wydzwignie, zabiły na duszy i ciele! Oj księżo, mówił mi nie jeden stary chłop, a łzy mu po siwych spływały wąsach, tyle lat człowiek przeżył, a nikomu krzywdy żadnej nie uczynił, a teraz przed śmiercią, takimi zbrodniami obciążyć trzeba mi było sumienie. Oj, mówili drudzy, to to my nie raz na przednowku z głodu umierali, a niech nam pokażą, kiedyśmy pańskie stodoły rabowali! Wieleby w tym względzie powiedzieć można, ale wolę tę krótką uwagę, po-

przedzającą opisanie missyi naszej, zakończyć temi słowy kościoła śgo: „*Judex ergo cum sedet, quidquid latet apparebit, nil inultum remanebit.*“

BOBOWA I BRZANY.

Trzeciego dnia Wielkanocnych świąt, wyjechaliśmy raniutko po odprawionój mszy ś. z Sącza. Wyznam, że mi bardzo ciężko i smutno było na sercu. Czułem wielkość i ważność mego posłannictwa, i tak słabe i niedołężne siły moje. Nie małe to zadanie, lud rozhukany i rozpasany na wszelkie zbrodnie, do Boga, poruszyć do żalu i skruchy, do poznania niegodziwości przywieść, które on za chlubę i zasługę poczytywał; nakłonić do zwrócenia podług sił i możliwości szkód uczynionych, różne powzięte nadzieje urojonej wolności i niepodległości zniszczyć, i onych czczość i bezzasadność do pojęcia ludu dowieść, a to wszystko w tym czasie, gdy jeszcze namiętności w sercach wrzały, gdy jeszcze krew przelana się kurzyła, gdy wszelka powaga Boska i ludzka zniszczona, przestała wywierać wpływ swój na umysły. Wiedziałem, z jaką roztropnością i rozwagą postępować trzeba wpośród

tego, we wszystkich stósunkach rozchwianego i wstrząśnionego towarzystwa, gdzie się wszystko tak groźnie i nieprzyjaźnie ścierało, w którym zemsta, nienawiść, nieufność i rozpacz panowała. Potrzeba było stanąć na téj ziemi krwią zbrczonéj, patrzeć na łzy, żyć między rozpaczą i zbrodnią, i z kazalnicy znieważonych kościołów, gromić zbrodnię, pocieszać smutek, uspokoić rozpacz, okazać w całej wielkości i potędze sądy sprawiedliwości i miłosierdzia Boskiego! Odpowiedzialność tych spowiedzi (ludu zmazanego zbrodnią, morderstwem, rabunkiem i świetokradztwem) przed Bogiem, trwogą mnie napelniała. Czy potrafię temu wszystkiemu zadosyć uczynić? Czy ratując dusze innych, własnej nie stracę? Na te pytania jedna pocieszająca odpowiedź, że taka była wola starszych, a tém samem wola Boska! Bóg mnie posyła do ludu swego, ja nic, On wszystko zdziałać potrafi. A czyniąc wszystko z miłości Jego i ludu naszego, on błędy moje i nieudolność poprawi, zastąpi! A więc w imię Trójcy Przenajświętszej, oddawszy się pod opiekę Boga Rodzicy i Sgo Kazimierza opiekuna téj ziemi, którego błogosławioną pamięć rozwalone gruzы zamku sandeckiego, w sercach ludu ciągle utrzymują, puściliśmy się w drogę, i tą tak piękną.

nad wszelkie opisanie, sandecką okolicą, przy-
 byliśmy do Grybowa, małego miasteczka, któ-
 rego mieszkańcy odparli kilkakrotnie napad roz-
 hukanąj tłuszczy. Ćwierć mili od Grybowa
 poczynają się pokazywać ślady spustoszenia.
 Na pierwszy widok spustoszonego dworu, ogro-
 dów i budynków gospodarskich w Białym, bo-
 lesne nie do wyrażenia uczucie przejęło serce.
 Przez te okna potłuczone, drzwi i bramy wy-
 walone, zgroza i spustoszenie szyderczo wy-
 ziera. Pustki w domu, pustki w około domu,
 połamane sprzęty i szczątki zamożności dzie-
 dzicznej zdają się opowiadać walkę i zwycię-
 zstwo piekielnych zdrad i zbrodni, których na-
 rzędziem ślepem został niestety lud nasz! Na
 widok tego spustoszenia pyta się serce: Czy
 to czas poczynił te zniszczenia, jako na tych
 w gruzach leżących starych zamczyskach? Czy
 Bóg piorunom rozkazał poniszczyć te mieszka-
 nia? Czy nieprzyjaciel w przechodzie mieczem
 i ogniem wypisywał pamiątkę swego tu po-
 bytu? Nie, to brat powstał na brata, dziecko
 na ojca, włościanin na pana. Kto mu dał
 bróń do ręki? kto go pchnął do zbrodni? ..
 piekło! I z boleścią oczy od ziemi ku niebu
 się zwróciły, jakby zapewnić i potwierdzić w so-
 bie jeszcze to przekonanie. Jest Bóg na nie-

bie, On nas nie opuści, byleśmy Go nie opuścili. Takie widoki bolesne odrywają serce od ziemi; ach! jakże kochać tę ziemię, która takimi skalata się zbrodniami; jakże nie tęsknić za niebem, do którego zbrodnia przystępu nie ma! I jechaliśmy dalej smutną, krzemienistą drogą. Mrok zapadł, po górach mgły szare się wieszały, błękitne dotąd niebo chmurami się pokryło i z rześistym deszczem wjechaliśmy do Bobowy, miasteczka najnędzniejszego między najnędzniejszymi miasteczkami polskimi. Żydostwo liczne i zamożne, mieszkańców do największej nędzy moralnej i materyalnej przyprowadziło. Miasteczko to, przez samych prawie szewców zamieszkałe, przedstawia najsmutniejszy widok zepsucia, pijaństwa i złodziejstwa we wszystkich swoich odcieniach. Jak brudne pajaki, gdziekolwiek przypelzają, wszędzie ślady po sobie zostawują, tak i to żydostwo napiętnowało zepsuciem cały kraj nasz i biedny lud z pod ich piekielnego jarzma wyłamać się nie może i dla nieszczęsnego, tyłowiekowego przyzwyczajenia i innych powodów, nie chce. Niechaj ci, co po cudzych krajach wędrują, i wychwalając nam dostatki i porządki zagraniczne, jakby z pogardą patrzyli i mówili o własnym kraju, niechby raczej

krwawą łzą zapłakali i wszystkich sił użyli, aby złemu tamę położyć! Oj gdyby do tych tak wychwalonych zagranicznych miasteczek posłać na rok jeden żydów naszych, ujrzelibyście wkrótce wielką zmianę! Pierwsze lody trudne do przełamania, i myśmy tego doznali; wolę jednak milczeniem przejść te wszystkie trudności i nieprzyjemności, cośmy je tu przebyć musieli. W tych czasach Bobowa była widownią krwawych zdarzeń. Rozhukane chłopstwo na krwi i łupieztwie zaprawione, trzy razy pod dowództwem sławnego zbójcy K. podstępowało pod miasto, ale uzbrojeni mieszczanie przystępu mu niedawali i wejścia bronili. Tłumy chłopów codziennie się powiększały i posłali parlamentarza do miasta, iż jeśli się wzbraniać będzie, to miasto na czterech rogach podpalą i zniszczą, jeżeli zaś dozwoli, to tylko zamek zniszczą i zrabują i spokojnie odejdą. Przestraszony tą groźbą sędzia, zezwala, mieszczanie zbrojni rozstępują się, z głośnem „hura,“ wpada rozjuszona tłuszcza pieszo i konno, z kosami, pałkami, siekierami, drągami i cepami, wali się wprost na stary wspaniały zamek (z którego dzierzawca Bobowy z żoną i dziećmi umknął) brzękły pod cepami szyby okien zamkowych, dębowe drzwi nie mogły wytrzy-

mać silnych razów obucha potężnego; w jednej chwili zamek rozjuszonym chłopstwem zapelniony; — rozwalają piece, rąbią posadzki, gruchocą sprzęty, rabują, niszczą, łamią, jakby w każdym kamieniu, w każdej cegielce widzieli wroga, co ich zemstę obudza; inni wpadają na gumna, stodoły, obory, zajeżdżają wozy, ładują snopy. Baby w płachty ziarno zgarniają, parobcy woły i konie wyprowadzają ze stajen, i w kilku godzinach dwór zamożny w pustkę przemieniony został. Ale na tém nie dość, gdy część tej tłuszczy, zaspokojona rabunkiem wraca do domów, inni jeszcze, krwi pragnąc, szukają ofiar i niestety znajdują. Napadają budynki dworskie i urzędników miejskich, niszczą takowe z równą zapalczywością, a ci, co nie mieli sposobności schronienia się, krwią swoją rozwalone skropili gruzy. Padło już kilka ofiar pod cepami zbójceckimi, napadają mordercy dom proboszcza, który się skrył zawczasu, dostają się do izby sypialnej, tu znajdują P. S. który z poblizkiej wioski, sądząc się najbezpieczniejszym w miasteczku na probostwie, tu się ukrywał. Poznany, znieważony najsromotniej, okropną męczeńską, w tejże samej izbie, ginie śmiercią. Wywleczony trup na podwó-

rze, staje się przedmiotem pastwienia się zwierzęcego, strzelają do trupa, oczy mu wypalają. Rzućmy zasłonę na ten okropny obraz.

Straszną tę śmierć Pana S. słyszałem opowiadaną wpośród łez potoków od córki jego, która o jednym czasie i wdową i sierotą została i z małą dzieciną, straciwszy całe mienie, w ubogiej chacie tulić się musiała. W Bobowie oprócz kościoła farnego jest jeszcze kościół Śtój Zofii z cudownym téjże obrazem. Chciałem obrać ten kościół na dawanie nauk naszych, oddając się pod opiekę téj Śtój, której nie jeden tak cudownie doznał. Między innemi, przed kilkoma laty cieśla, koło dachu pracujący, spadł bez najmniejszego szwanku z rusztowania, wezwawszy, lecąc, imienia Ś. Zofii. Dla rozmaitych przyczyn nie mogłem tego zamiaru wypełnić. Pomieszkanie, tj. izdebkę dano nam w domku wikaryusza i tymczasowego administratora, gdyż proboszcz tujszy w więzieniu się znajdował. Ciekawa zbierała się nas tu do obiadu i wieczery kompania. Dzierżawca Bobowy, oficer od huzarów, komisarz rządowy, zawiadowca dóbr pobliskich, sędzia, administrator i dwóch biednych zakonników tak niespodzianie tu przybyłych. Lecz dzięki Bogu, przez cały ten czas, naj-

mniejszej ze strony tych panów nie doznaliśmy przykrości; przeciwnie uznali wszyscy pożytki prac i starań naszych i gdzie mogli, pomocnymi nam byli. Do parafii Bobowy należą dwie wsie, postanowiliśmy najprzód w tych wioskach rozpocząć nauki nasze. Po południu na nieszpórach miałem naukę, przed bardzo licznie zgromadzonym słuchaczem, gdzie wyłożył powód przybycia, cel nauk naszych, i wystawił w prawdziwym świetle te zgrozy, których widownią te miejsca były. Gdym opisywał wewnętrzny stan mordercy, słowa prostymi, ale dobitnie, jeden ze słuchających, który wytężonego oka ze mnie przez cały ciąg mowy zuchwale nie spuszczał, raptownie pobladł i blizki omdlenia, z kościoła wyniesiony został (co się nie raz jeden w czasie missyi i na różnych wydarzyło miejscach), obecni poznawali w nim jednego z morderców P. W. Po nauce zapowiedziałem rozpoczęcie moich nauk w Brzanach na dzień następujący, i wszyscy, jak się zdawało, wzruszeni, rozeszli się do domów swoich. W Poniedziałek rano, odprawivszy mszę ś., wsiadłem na furę i pojechałem do Brzan. Miejscem przeznaczoném do dawania nauk była wielka, opuszczona karczma pod lasem, w której leśny mieszkał,

o dobre pół mili od Bobowy odległa. Droga prowadziła przez trzy dwory spustoszone, z których jeden okropnej sceny był świadkiem. Młody pan, wróciwszy z zagranicy, żył spokojnie w pośród swoich poddanych, od których powszechnie był kochany i zasługiwał na tę miłość. W tém przekonaniu, gdy okropne wieści morderstw tarnowskich i tu się szerzyć poczęły, spokojnie w domu pozostał; gdy niespodzianie tłuszcza mordercza go napada, zbitego, skrwawionego i bez znaku życia na śniegu przy brzegu zamarznętego potoku zostawia. Noc mroźna przywraca mu przytomność, śniegiem płynącą zatamowawszy krew, wlecze się do poblizkiej, jak pomnę, grabarza chaty. Zbójcy, dowiedziawszy się, że żyje, napadają powtórnie; na próżno błaga o księdza, nikt się nie znalazł, coby mu tę przysługę uczynił, tylko młoda Żydówka z poblizkiej karczmy pobiegła po proboszcza do Bobowy, lecz nie mógł przyjść. Pan W., nie wydający już znaku życia, jak pierwszym razem, chłodem nocy ożywiony, chce ratować życie swe, w opuszczonej kryjąc się chacie. Ale i tym razem zdradzony. Wpadają zbójcy, nie chcąc wierzyć własnym oczom, widząc go żywego, i przypisując to cudowne zachowanie

wanie życia ukrytym świętościom, zdzierają suknie i znajdują na piersiach cudowny medal niepokalanego poczęcia Matki Boskiej! Zdzierają z niego ten medal i wtedy dopiero ostatni cios zadają. Za każdym razem, przejeżdżając około tego miejsca, zdawało mi się widzieć bladą, zakrwawioną postać Pana W. Wiele, bardzo wiele podobnych wypadków mógłbym tu przytoczyć, gdyby cel tych kartek tego dozwalał. Znajdą się bezwątpienia tacy, co to uczynią, aby tą kartą dopełnić historyi tego nieszczęśliwego narodu, którego dzieje łzami i krwią zapisane, który ksiądz Hieronim nazywa tak trafnie Jobem między narodami. Oby tylko, jak nieszczęścia, tak i błogosławieństwa Joba na nim się spełniły!

I stanąłem na miejscu przeznaczonem. Ludu zebranego już wiele na mnie czekało. Zaledwie który na powitanie, „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ półgębkiem odpowiedział, zaledwie który uchylił czapki, ponuro i podejrzliwie, jakby wszystkie chcieli przeniknąć myśli, patrzyli na mnie. Bynajmniej tém przywitaniem nie zmieszany, zacząłem, jakby z dawnymi znajomymi, nietykając zaszłych zdarzeń, rozmawiać o gospodarskich i domowych stosunkach, i w krótkim czasie zupełnie ta

nieufność ustąpiła. Wszedłem do izby obszernej i pustej, a przybivszy do ściany mój duży drewniany krucyfiks (nieodstępny towarzysz moich wycieczek) tak mi się dobrze i błogo zrobiło, rozchwiana wróciła nadzieja, a upadłszy z ludem na kolana, zmówiliśmy pacierze poranne, i wzięwszy komżę i stulę, począłem pierwszą naukę o miłosierdziu Boskiem dla grzeszników pokutujących. Po godzinie zakończyłem modlitwę i pożegnałem lud, który widocznie wzruszony, żegnał mnie i przyobiecwał nie opuszczać żadnej nauki, czego też dotrzymał. Po rozejściu się ludu, zacząłem dzieci katechizować, co trwało codziennie dwie godziny przed i po południu, poczem posiliwszy się surowemi jajkami, chlebem, sérem, it. p., około godz. 3ciej, gdy się dzieci zebrały, na które jeden chłopak, biegając po górach i pagórkach, dzwonkiem znak dawał, rozpoczynałem katechizm aż do godz. 5. O 5tej, lud uwolniony od pańszczyzny, zbierał się na naukę, którą zakończywszy i pomówiwszy trochę z ludem, brałem brewiarz do ręki i na pół idąc, na pół jadąc, wracałem do Bobowy blisko w godzinę. Tym sposobem przez ośm dni czyniłem wycieczki do Brzan. Codziennie ufność ludu i liczba słuchających, któ-

rych izba ogarnąć nie mogła, wzrastała, wiara wracała do serc, żal i skrucha obudziły się, co się później okazało, gdy do spowiedzi cisnąć się zaczęli. Nieraz gdy im okazywałem zbrodnie, których się dopuszczali i żywym opisaniem, jakby kładłem przed oczy, westchnienia żalosne dały się słyszeć. Po każdej nauce dziękowali. Podczas jednej nauki, pamiętam, starzec siwy, jak gołąb wystąpił z pośrodku ludu i stanąwszy przedemną, odezwał się, przerywając mowę swoją, że nie może wytrzymać, aż dokonczę i musi mi podziękować za wszystko dobre, com dla nich i dzieci ich uczynił. Po każdej wieczornej nauce, parę konew wody poświęcić musiałem, tudzież jednemu pole, drugiemu pasiekę, trzeciemu domek. Rozdawałem szkaplerze i koronki, baby znosiły podarunki: sér, masło, jaja, mleko, com z biednymi dziatkami, które się z dalekich chat zbierały, wspólnie pożywał. Nie raz, jadąc do Brzan, matki, nie mogące same przyjsć, kładły mi na wóz małe dziatki, aby katechizmu się uczyły, które, powracając, matkom oddawałem. Jednym słowem taka ufność i przywiązanie w sercach tego ludu w tak krótkim czasie okazała się, że poznałem, ileby z tym ludem uczynić się dało, gdyby tylko jemu wy-

łącznie się poświęcić można. *Missio multa, sed operarii pauci.* Przy ostatniej nauce ja wraz z ludem zapłakałem i ciężkie było rozstanie nasze. Podziękowałem Panu Bogu za te 8 dni, w których tak widocznie błogosławił pracy mojej. Że poznał lud ten zbrodnię, że za nią żałował, a to poznanie zdaje się być pewną rękojmią, że się te krwawe sceny, nawet przy zdarzonej nie ponowią okazy, że bezprawia, od pojedynczych osób popełniane, trafić się mogą, to nic dziwnego, bo źli ludzie zawsze byli, są i będą. Zresztą czyniliśmy, cośmy mogli, że nasiona nie na twardą padły skałę, zdaje mi się, że zapewnić mogę. Ale jeśli zewnętrzne wpływy nie przestaną działać w ciemnościach, aby tę słabą roślinę wydrzeć, i prace nasze zniweczone zostaną, i lud nieszczęśliwy zginie. Ale sądy Boskie kiedyś okropne się okażą. Ach, gdyby całą pracę naszą tylko jednej zbrodni się zapobiegło, nie byłaby ona prózną i bezowocną. Dnia jednego, gdy pod wieczór z brewiarzem przechodził koło samotnego w lesie domku, ujrzałem starą kobietę, w progu siedzącą i płaczącą. Spytawszy o przyczynę, odebrałem odpowiedź, że córka jej, 20letnia dziewczyna, słaba leży na kołtun. Czy spowiadała się?

Oj, nie Dobrodzieju, bo ona już od kilku dni nie nie gada i wciąż tylko drzymie, nawet nie wie, kiedy się ją karmi. Wszedłem do izby ciemnej, zadymionej, niskiej, między krowami i cielętami leżała biedna dziewczyna na sнопie słomy. Przystąpiwszy i usiadłszy przy niej, przeżegnawszy ją wodą S. Ojca, zacząłem do niej pomału przemawiać; otworzyła oczy i wpatrując się we mnie, poczęła coś mówić. Zapytałem, czy spowiadać się zechce; z ochotą na to przystała i za pomocą Boską odprawiła, jak można było spowiedź. Nazajutrz wziąłem z Bobowy Przenajświętszy Sakrament i zającawszy na miejsce nauk, z całym ludem tam zebrany, udaliśmy się do biednej chatki, gdzie po krótkiej przemowie przyjęła chora P. Jezusa i od tej chwili polepszyło jej się, żem odjeżdżając, już do zdrowia powracającą pozostawił. Dziedziczka Brzan Pani Z. w nocy, gdy jej syna. P. W. mordowano, z dwoma córkami w lesie szukać musiała schronienia. Bez odzienia, przebywszy noc mroźną wpośród śnieżnych zamieci, nad rankiem pokryjomu dostała się do jednej chaty, której gospodarzowi zawieźć mogła. Ten ją na strychu ukrył pomiędzy słomą. Ale zaduch i dym, w górę się wznoszący (gdyż bez ustanku gotowano i smażyono

baraninę z owiec porabowanych) zmusił ją zejść, w chwili gdy się chłopstwo przechodzące i rabujące rozeszło, prosząc na miłość Boga o inne schronienie, które jej dano w oborze pomiędzy bydłem i kupami nagromadzonego nawozu i tak trzy dni ta nieszczęśliwa godna P. przebyć musiała. Ukończywszy nauki nasze wiejskie, rozpoczęliśmy je w samą Bobowie.

BOBOWA.

W imię Boskie pod opieką Naj: Boga Rodzicy rozpocząłem nauki moje w Bobowie. Towarzysz mój pozostał przy wiosce. Stosunki i czas nie był najpomyślniejszy do dawania tych nauk. Rozjatrzenie umysłów było jeszcze wielkie, zbrodnia wydawała owoce swoje, chociaż mieszkańce tego miasta do przelania krwi się nie przyczynili, jednak w rabunku udział mieli, co połączone z zepsuciem zagnieżdżeniem, zaciemniało umysły, zatwardzało serca. Doświadczyłem nie raz jeden, że daleko ciężiej na dobrą drogę naprowadzić człowieka, u którego zepsute obyczaje, jakoby już systematycznie wpajany jad, stały się potrzebą niezbędną życia, jak tego, który zewnętrznym wpływem pchnięty, dopuszcza się zbrodni w szale

pomieszania wewnętrznego i sam z sobą rozdwojony, stoi na téj strasznej rozstajnej drodze, albo iść dalej tą drogą zbrodni, na której pierwszy krok uczynił, albo ze łzami pokuty wrócić na drogę, którą opuścił. Tu jedno słowo, tu jedna nauka, tu jedna spowiedź, przy łasce i miłosierdziu Boskiem, wszystko roztrząsnąć może. Serce ludzkie jest niezgłębianą tajemnicą, jedna przepaść drugą odkrywa, tylko tego, który Boga kocha i boi się (nie podług swego urojenia i widzimisie, ale podług prawa jego) tego tylko wewnątrz jest jasne i spokojne, w takim tylko sumieniu wszystko tak się daje przejrzeć, jak w czystej jeziora wodzie.

W mieszkańcach tego miasteczka, dawał się widzieć z jednej strony wyraz bezczelnego zuchwalstwa, a z drugiej strony, ten wstyd, z przekonania podłości i niesprawiedliwości popełnionej, wynikający. I jeżeli część, dzięki Bogu, bardzo mała ludu, chodziła i chodzi jeszcze niestety jakby napiętnowana tém piętnem bratobójstwa Kaima, większa część czołga się jakby przywalona brzemieniem wstydu, który to słowo: *złodziej* i *rabuś* wzbudza w każdym, kto z tych zbrodni rzemiosła nieczynił. Lecz tymczasem wszystkie pojęcia ludu pomieszanane były, sami niewiedząc, czy to, co uczy-

nili, było dobrem, lub złem, czy na karę, czy na nagrodę zasłużyli, i niemając nikogo, kogoby się poradzić i komuby zaufać mogli. W takim położeniu, jeden ksiądz by ich mógł oświecić, ale i ta ostatnia pociecha i pomoc odjętą im została. Jakąż mogli położyć ufność w słowach kapłańskich ci, którzy bezkarnie żyli, wiązali, więzili i zabijali kapłanów? I ten ostatni promyk światła i rozumu, co jeszcze przyświecał w głowach i sercach ludzi, zgasł w pośród krwi potoków, i zostali w pośród ciemnej nocy wyrzutów sumienia, nieufności, nędzy, i wątpliwości o przyszłości. Ciężko padła na nich ręka sprawiedliwości Boga, bo oni to prawo natury w sercu każdego zapisane: niezabijaj, nie bierz cudzego mienia, zgwałcili. Jak wielka ta nieufność ku księżom się okazała, dosyć przykładów zaświadcza. W jednej parafii proboszcz, przed temi rozruchami bardzo lubiony od parafian swoich, gdy zaburzenia ustały, posłał chłopaka do apteki po proszki od kaszlu. Natychmiast gruchnęła pogłoska po całej parafii, iż ksiądz truć będzie przy rozdawaniu komunii. Zbliżała się wielkanocna spowiedź, ludzie przystępują do spowiedzi, ale żaden do komunii ś. Ksiądz zdziwiony pyta o przyczynę, ale nikt wyznać

nie chce; przypadkiem dowiaduje się, przywołuje wybranych z gromady i w przytomności tego, który do apteki chodził, i poznał, iż to te same proszki, które podówczas przyniósł, pożywa takowe i lud zaspakaja. Innemu, gdy im miał święcić paschę, przynieśli sami chłopci wodę i sól, którą w ich oczach poświęcić musiał i pierwój własne, a potem ich święcone pokropić. Mógłbym jeszcze wiele podobnych przytoczyć przykładów do okazania téj smutnej prawdy, która niestety gorzkie już wydała owoce. Lecz wróćmy do Bobowy: do usposobienia ludu, względem słuchania i pożytkowania z nauk dawać się mających, przyczyniły się nie mało rozmaite nieporozumienia. Zupełnie ochotę i nadzieję straciłem i już myślałem, czyby nie lepiej było przeczekać? Ale gdzie idzie o chwałę Boską i o dusze ludzkie, tam zbytnia przezorność ustąpić musi. Co mi do tego, powiedziałem sobie, Bóg mnie przysłał, ja swoją powinność wypełnię, i z tego tylko będę zdawał rachunek przed sądem Boskim. Umysły i serca ludzkie są w ręku Boga, on je może nakłonić, jak zechce. Choćby tylko jedna babka przyszła, będę mówił, bo może dla téj jednéj babki Bóg mnie przysłał, bo jednéj duszy pomódz do Nieba przyjść, to wię-

cój jak cały świat pozyskać. Bo jedna dusza przed Bogiem więcej warta, niżli miliony tych materialnych światów. Ludzką aby zbawić duszę, musiał Bóg stać się człowiekiem i przelać krew swoją; aby świat stworzyć potrzebował tylko chcieć. A więc w imię Boże rozpocząłem te nauki w poniedziałek. Trwały przez ośm dni, bez przerwy następującym porządkiem: o godzinie 6. odprawiłem Mszę ś., od wpół do siódmej do 7mej lub do ósmej nauka o sprawach ostatecznych, po której wotywa, śpiewana przez miejscowego księdza, ja zaś słuchałem Spowiedzi, o 11, do 12, nauka katechizmowa i Suplikacye. Spowiedzi pokąd można było. Po południu od 3, do 4, nauka katechizmowa, od 4, do 5, nauka o spowiedzi i rachunek sumienia. Suplikacye, pieśni i jeżeli ludzie byli do spowiedzi, resztę czasu w konfessyonalu. Nad wszelką nadzieję, lud się liczniej tak z miasta jak i z okolic zgromadzał, niżli się spodziewałem. Słuchał z uwagą i pilnością, a że nie słuchał napróżno, to się okazało z spowiedzi, do której się garnęli z prawdziwym żalem i skruchą; tak tu jak i wszędzie prawie wszystkie spowiedzi były z całego życia, i dla tego gdy niepodobienstwem było wszystkim zadosyć uczynić, gdyż po go-

dzinie, czasem dwie i trzy godzin jedna spowiedź czasu zabierała, ciągnął lud do Sącza, w którym to czasie księży nasi sandeccy po całych dniach w konfesyonałach siedzieć musieli. Pożytków takich nauk nie można lepiej osądzić jak przy słuchaniu spowiedzi. Restytucyi też nie mało nastąpiło, niestety zapóźno przyjechaliśmy, rabowane rzeczy przeszły były w ręce żydowskie. Zboże i owoce zmarnowane; lud jak pierwój tak i teraz w biedzie zostawał, cały jego zysk był, zgryzota sumienia, a niemożność zwrócenia szkód uczynionych (których wynagrodzenie wedle sił i możliwości na nim tak długo ciąży, pókąd ci, których skrzywdzili, od tego obowiązku ich nie uwolnią) niepokój w nim utrzymuje i udręczenie nieustanne. A lud ten poczyniwszy milionowe szkody dla z bogacenia żydów, dziś w nędzy zostając, nieważy się prosić o pomoc tych, których sam ogołocił z wszelkich środków dawania pomocy, nie odważa się zbliżyć do téj, którą wdową uczynił, i poznał lud nieszcześliwy, że lepiej mu było z najgorszym panem, jak teraz niemając żadnego! Chociaż ta misja Bobowska w porównaniu z innemi daleko mniej zdawała się skutkować, jednak i za nią niechaj będą Bogu dzięki. Zemsty, któreby

może krwawo były się zakończyły, usunięte, niegodziwe stosunki i związki zerwane, podstępny i zdrady piekielne w ciemnościach knute zniweczone, krzywdy odpuszczone, wiele szkód poczynionych zostało nagrodzonych, i nie jednemu pokrzywdzeniu na przyszłość zapobiegło się. Wiara obudzona, sumienie wzruszone, i serca zlodowaciałe, ożywione zostały. „Oj czemuż to księża nie przybyli do nas pierwéj, a całe to nieszczęście niebyłoby na nas padło, kiedy to człowiek już sam nie wiedział ani co robić ani kogo słuchać!“ mówili nie raz ludzie. Jak wszędzie tak tu, nie jednej i nie małej doznałem pociechy, nie mówiąc już o téj największej, której człowiek doznaje, pracując na chwałę Bożą, i pożytek dusz ludzkich, ale są pojedyncze zdarzenia i wypadki, któremi Bóg jako rosą niebieską znekane nieraz siły duszy i ciała pocrzepia i ożywia, i dodaje większej chęci i ochoty do pracowania i zwyciężania wszelkich przeciwności, zkańdokolwiekby one pochodzić miały. Takich pociech w czasie pobytu w Bobowie, doznałem kilka razy szczególniejszym sposobem przy słuchaniu spowiedzi, pociech, których nikt, kto takowych nie doznał, wyobrazić sobie nie może. O! ile razy musiałem wzruszony w głębi serca, podziwiać,

czcić i uwielbiać tajemnicze drogi miłosierdzia
 Boskiego, które dla niektórych tak cudownie
 się objawia, i nieraz Pan Bóg najnędniej-
 szęj nauki, jednego obojętnego użyje słówka,
 aby okazać, że nawrócenie człowieka jest je-
 dynie dziełem miłosierdzia Jego, że w jednym
 momencie, jak z twardej skały źródło, tak
 z najtwardszego serca łez potoki wydobyć mo-
 że, aby usta, co go przed chwilą bluźniły, od-
 tąd błogosławiły imię Jego. Takie nawróce-
 nia najzaciętszych od lat wielu i grzechami jak
 zgniłym mchem obrosłych serc, wszędzie w sku-
 tek dawanych nauk następowały, bo miłosier-
 dzie Boskie wszędzie toż samo jest. Takich
 nawróceń i tutaj było niemało, za co Bogu
 nieskończone niechaj będą dzięki, cześć i chwała
 na wieki. Zaufanie i przywiązanie ludu, które
 przy odjeździe szczególnie się okazały, nagro-
 dziły nam stokrotnie prace nasze, są to po-
 ciechy ludzkie, na które ani rachować, ani żą-
 dać takowych nie powinniśmy, czyniąc wszy-
 stko jedynie z miłości Boga i powołania swego,
 jednak, gdy Bóg dobry takowych użyczy, jako
 niezasłużoną łaskę z rąk Jego z wdzięcznością
 przyjmujemy. Jako wszędzie tak i tu znala-
 złem dusze wybrane, które jako rzadkie kwiaty
 na skałach w ogrodzie kościoła wszędzie wzra-

stają, bo kościół jest święty i ma świętych swoich i na każdym miejscu i w każdym czasie, tych pośredników między ludźmi, niedowiarstwem i występkami skalanemi, a tym Bogiem (trzymającym pioruny zemsty nad światem) który wyrzekł, iż dla dziesięciu sprawiedliwych, gotów przepuścić całą Sodomie! Nie jedną miłą godzinę spędziłem tu wieczorem, gdy prace w kościele się ukończyły, w ubogiej izdebce Pani Z., która z bogatego dworu, w gruzach teraz leżącego, do nędznej chaty przenieść się musiała, a utraciwszy wszystko, nie utraciła ufności w Bogu, a te cępy i siekiery, co obaliły mury jej pomieszkania, niezdolały przełamać mocy duszy jej. Taki widok zaiste uszanowanie obudza, w takich to bolesnych chwilach serce spróbować się może i poznać siły swoje, takie to nadzwyczajne nieszczęście, nadzwyczajne, dla sprawiedliwego i bojącego się Boga, błogosławieństwa ściągnąć mogą.

27. Czerwca 1847.

BRUŚNIK.

W czasie pobytu naszego w Bobowie odebraliśmy list od proboszcza w Bruśniku za-

prosząc, abyśmy z daniem nauk do jego
 parafii przybyli, na cośmy chętnie przystali;
 a ukończywszy nauki w Bobowie, puściliśmy
 się pod opieką Boską do tego miejsca. Droga
 prowadziła około tych miejsc, któremi jadąc
 do Brzan, codziennie przejeżdżałem, wszystkie
 chaty przy drodze znajome mi były, nie do
 jednej wstępowałem, powracając do Bobowy,
 lud po ogrodach i polach pracujący, jako do-
 brego przyjaciela uprzejmie i serdecznie witał,
 dziatki zbiegały się do wozu, aby jeszcze jaki
 obrazek dostać. Gdym przejeżdżał koło téj
 karczmy, gdzie tyle razy słowo Boże opo-
 wiadał, gdym posłyszał szmer tego strumyka,
 po którego przechadzając się brzegach w wol-
 nój południowój i wieczornój godzinie, odma-
 wiałem mój brewiarz, gdym oddychał tém
 powietrzem napelnioném wonią kwiatu gęstych
 drzew owocowych, które jakby śniegiem przy-
 sypane, odbijały od ciemnej zieloności starych
 buków; wszystko tak miło i błogo w oko
 i serce mi wpadało, to było pierwsze miejsce,
 gdzie z ludem rozpoczął w bliższe wchodzić
 stosunki, gdzie rozpoczął ten zawód wiej-
 skiego misyonarza, któremu jeżeli taka wola
 Boga, o jak chętnie poświęciłbym całe życie
 i wszystko moje! O! nie jest ta praca na

niewdzięcznej roli, przekonałem się dostatecznie; ileby z tym ludem uczynić się dało, ale pracować około niego potrzeba, nietracąc nadziei, jeżeli poprawa bardzo tępym z początku będzie się zdawała iść krokiem. Łatwiej popsuć niż naprawić, łatwiej dom zrujnować niż wybudować. I chcieć w jednym roku poprawić lud, nad którego zepsuciem wieki pracowały, to zaiste się nie uda. Łatwiej ufność i przywiązanie ludu utracić, jak takowe odzyskać, i najlepsi panowie, którzy prawdziwie poświęcali się dla dobra poddanych, jednak z boleścią widzieli wszędzie przebijającą się nieufność, a to dla tego, że ten lud nie mógł pojąć i wierzyć temu, aby mógł kto dla niego bez własnego interesu się poświęcić, aby mógł kto go kochać. Z resztą lud w grubych ciemnościach pogrążony, miał wiarę, ale nie taką, aby ją do praktycznego zastosować życia, a proboszczowie przy najlepszych chęciach nawet, obarczeni tyłu zatrudnieniami rozmaitego rodzaju, czasu nie mieli tak licznemi dostatecznie zajmować się parafiami! Inne wpływy zewnętrzne, złe przykłady, niegodziwe częstokroć obchodzenie officialistów dominialnych, nałóg wkorzeniony pijaństwa, przebiegłość żydów, wszystkie te

nieszczęsne stosunki, jakby sojusz między sobą zawarły, dla zepsucia, i rozbastwienia ludu. Pierwsza wydarzona okazyja, a widzieliśmy skutki tego wszystkiego, krew i łzy! O wszystko dałoby się poprawić, odmienić, ale trzeba przyłożyć rękę do pług. Przyjechaliśmy pod wieczór do Bruśnika. Zachodzące słońce oświecało na pół rozwalone, na pół popalone szczątki pięknego przed parą tygodniami dworu. Zgroza i spustoszenie, jakby straż odbywały przed każdą wioską, i wymownem milczeniem do przyjeżdżającego przemawiały: i tu w przechodzie swoim zbrodnia zagościła, i tu krew przelana została. Jeżeli dawniej do wioski wjeżdżając, tak błogie i miłe uczucia serce wzruszały, to teraz o jakże się wszystko zmieniło! Patrząc na te dwory, to pierwsze powstaje pytanie, gdzież pan? zginął pod cepami swoich; gdzie żona, gdzie dzieci? jako biedne ptaszęta, z gniazda wypłoszone tulają się po świecie. I posłyszysz serce te dzwony kościelne i zaraz smutna jak ciemna chmura myśl, błogie przyćmi wzruszenie, ach! może i ten kościółek był świętokradzko zelżony, i spojrzysz oko na te chaty, które niegdyś miłosierdzie i politowanie wzbudzały, i obróci się: ach! może w tej chacie morderca mieszka. O!

w tak krótkim czasie wieleśmy boleści przeżyli! Proboszcz staruszek przyjął nas jak najuprzejmiej. Bruśnik w tych czasach był widownią krwawych scen; w Niedzielę, w czasie nabożeństwa w kościele, chłopci w pobliskiej karczynie wódką upojeni, na nieszczęśliwych, tu przywleczonych ofiarach zemstę swoją wywierali; padło pięć ofiar z ich ręki krwawą śmiercią, ale ten, który tym mordom przewodził, parobek miejscowy, odebrał nagrodę za służoną. Wsiadając na konia, aby pobliskie do dalszych rabunków i mordów podżegać wioski, padł przy wszczętój kłótni, cepem w głowę rażony i krew mordercy z krwią ofiar zmieszana została. W czasie pobytu naszego w Bruśniku bawił tu P. S., który prawie cudownie uszedł śmierci, chociaż cały ranami pokryty. Człowiek, któremu same dobrodziejstwa świadczył, najokrutniejszym i najzaciętszym względem niego się okazał. Gdy rozruchy ustały, przychodzi do niego, pada do nóg, prosząc o przebaczenie; pyta go P. S. „powiedz mi mój człowieku, cóżem ja tobie kiedy złego uczynił, żeś mnie tak katował”? Nie tylko nic złego nie uczyniłeś mi Pan, ale wszystko Jemu winien jestem. Czemuś więc tak okrutnie ze mną się obszedł? Ja nie

wiem sam, co się ze mną stało! i taką odpowiedź nie raz jeden na podobne zapytanie odbierałem. „Ja nie wiem, ale żeby mi kazano było ojca własnego zabić, byłbym uczynił.“ To pewna, że niektórzy, jakby w obłąkaniu zmysłów dopuszczali się zbrodni, inni niestety z największą rozważą to uczynili. Co do rabunków, to chęć zysku jednych wiodła, drudzy zmuszeni groźbami, inni w mniemaniu, że już Panów nie będzie, a więc wszystek onych zabytek do nich przynależy! Nie wezmę ja, to weźmie inny. Kobiety przy rabunkach najczynniejszemi się okazały, a choć który gospodarz nie chciał tego czynić, to mu żona pokoju nie dawała, dopóki i on swojej ręki nie przyłożył. Gdyśmy do Bruśnika przyjechali, lud bardzo jeszcze był niespokojny, tak, że musiano o wojsko prosić, dla zapobieżenia dalszym bezprawiom. Jednak Pan Bóg na tém miejscu dziwnie pobłogosławił pracy naszej. Towarzysz mój obrał wioskę Siekierczynę do dawania nauk, do której codziennie rano wyjeżdżał, i aż pod wieczór powracał. Ja w Bruśniku pozostałem. Nauki dawałem tym porządkiem jak w Bobowie: dwie godziny rano i dwie po południu z katechizmem dla dzieci, reszta czasu na słuchanie spowiedzi.

Kościół murowany, na ambonie, z wielką pociechą moją, znalazłem obraz Sgo Ojca Ignacego, którego opiece i lud i siebie oddałem. Kościółek był codziennie natłoczony, pomimo że niektórzy, co te bezprawia powtórzyć mieli chętkę, wszelkiemi sposobami usiłowali lud przeciw nam podburzyć, rozsiewając pogłoski, żeśmy nie księżmi, ale szlachtą przebraną, inni, żeśmy z klasztoru uciekli i błakamy się po świecie i t. p. Chciano jednego z tych, co te pogłoski rozsiewali, ukarać, lecz wyprosililiśmy go. Pomimo tego lud wiernie się zbierał i słuchał z uwagą wielką. Osnowę nauk moich wedle okoliczności stósowałem, w każdój o wydarzonych bezprawiach wspominając, uważając i rozbierając one z rozmaitych stanowisk. Powinności włościan ku panom, wykładając zwięźle i jak najzrozumiałej. Do spowiedzi przez cały tydzień przystępowali (wolnego tylko w obiad i wieczorem miałem trochę czasu do odmówienia brewiarza). Za ledwie południe minęło, a gromady dziatek już czekały przed kościołem, a gdy po skończonym katechizmie dzwon na naukę dawał znak, w oka mgnieniu wszystkie ścieżki górzystej okolicy bielić się poczęły sukmanami ludu, który nie dawał czekać na siebie. Po-

rzucali domy i role, pańszczyzna ustawała, i wszyscy z ochotą, i jakby z upragnieniem garnęli się do słuchania słowa Bożego. Gdy po skończonej nauce, która zwykle do wieczora przeciągała się, zapalono wszystkie świece i ksiądz miejscowy rozpoczynał przy wystawieniu Najświęt. Sakramentu Litanią do Matki Boskiej z całym ludem, była to chwila tak święta; a gdy po skończonej cały lud nasz, padłszy na kolana, przy towarzyszeniu organów, począł pieśń: „Przed oczy Twoje Panie“ wtedy zda mi się, żeby najtwardsze serce zostało wzruszone. Te głosy tak bolesne, które czuć było, że z głębi rozdartego wydobywają się serca, które poznawszy zbrodnię swoją, żebrze o zlitowanie i miłosierdzie, ten ponury mrok w kościele, przytomność Boga na ołtarzu wpośród uroczystego blasku świec w okół Przenajświętszego Sakramentu i ten głuchy głos organów, tak to wszystko dziwnie duszę wzruszało. Czy podobna, pomimowolnie ta myśl przechodziła, czy podobna, aby ten lud tak skruszony, starty, korzący się przed Bogiem swoim, był tym ludem, co przed parą miesiącami broczył w krwi bratniej, znieważał i bluźnił Boga swego? Cóż go w jednej chwili tak złym uczyniło, cóż go tak prędko

do poznania przywiodło? Pierwszego złość ludzka, ludu za narzędzie ślepe używając, drugiego miłosierdzie Boskie było przyczyną! Oh! Sąd ostateczny okropne światu wykryje tajemnice! Po otrzymaném błogosławieństwie lud spokojnie i poważnie wychodził z kościoła, i wracał do domów swoich, i ja podziękowawszy Bogu za błogosławieństwo, przez cały dzień mi użyczone, wracam na probostwo. Ośm dni trwały te nauki, po których na wezwanie proboszcza w Ciężkowicach, na to miejsce udaliśmy się. Jak wszędzie, tak i tu serdecznie i czule zebrany lud żegnał nas, skarżąc się na krótki czas pobytu naszego.

CIĘSZKOWICE.

Po południu, pożegnawszy lud, opuściłem Bruśnik. O milę od téj wioski leży miasteczko Ciężkowice, bardzo miłe, porządne i zaludnione. Ani jednego Żyda tu nie masz, co zaraz przy pierwszym wstępie do miasta poznać się daje. Mieszczanie trudnią się najwięcej wyrobem i handlem płócien, co niegdyś to miasteczko bardzo zamożnem czyniło, dziś bardzo podupadło. W pobliżu tego miasta, dziwacznych kształtów nagromadzone skały na

wzgórzu widzieć się dają, o których wieść niesie, że to zaczarowane i przeklęstwem przejeżdżającego z Przenajświętszym Sakramentem księdza, którego mieszkańcy nie uczcili, zakamieniałe miasto. Kościół farny bardzo obszerny, w tych czasach znieważony został, przez tłuszcę rozbójniczą, która pod pozorem szukania broni, na koniach, z nakrytymi głowami, fajkami, bluźniąc i szydząc, plondrowała po wszystkich zakątkach kościelnych. Morderstwa żadne tu nie zostały popełnione, ale w okolicznych wioskach, szczególnie w Jastrzębi, wiele ofiar najokropniejszą i najhaniebniejszą poległo śmiercią. Nie jest to miejsce, takie bolesne wypadki szczegółowo opisywać, zapisane one są krwawymi łzami w sercach nieszczęśliwych wdów i sierót! Mieszczanie cięszkowiccy z rabunków w pobliskich wioskach dobrze umieli korzystać, lub sami osobiście, lub za pośrednictwem żydów i chłopów, od których nabywali zrabowane rzeczy z niemałym dla siebie zyskiem. Przyjechaliśmy pod wieczór do Cięszkowic, mieszczanie uwiadomieni o naszym przybyciu, z okien i bram domów uprzejmie i z wyrazem zadowolenia witali nas. Proboszcz przyjął nas jak najuprzejmiej i powzięliśmy dobrą nadzieję o skut-

kach prac naszych na tém miejscu, która, dzięki Boskiemu miłosierdziu, nie zawiodła nas. Pozostaliśmy obaj na tém miejscu. Rozdzielwszy nauki nasze, ksiądz S. codziennie 2 godziny i ja 2 godziny, mówiliśmy z ambony, on o spowiedzi, ja o prawdach wiecznych i powinnościach stanu. Pierwszego zaraz dnia, gdy się udał przed nauką i mszą Śtą raniutko do kościoła, znalazłem już lud zgromadzony około konfessyonału. A oprócz mieszkańców miejscowych, którzy tak wiernie i przykładowie żadnej nauki nie opuścili, lud z pobliskich wiosek tłumnie się zgromadzał i bawił, jakby obozem na cmentarzu rozłożony, aż do późnej nocy, gdyż spowiedzie codziennie aż do nocy się przeciągały, i nie było dnia, aby jeszcze o 9tej i 10tej w wieczór nie rozdawano komunii śtój! a prawie wszystkie, bez wyjątku spowiedzi były z całego życia, pomimo że tutejszy miejscowy proboszcz z wikaryuszem i kilku pobliskich księży wiernie nam dopomagali; niepodobieństwem było wszystkim zadosyć uczynić. I po odjeździe naszym całe kompanie z tych, co uczęszczali na nauki, do Sącza do naszego kościoła, wędrowały. Oprócz ludu prostego wiele osób z wyższego stanu z okolicy przyjeżdżało na słuchanie nauk

i odprawienie spowiedzi. Mieszkańcy tego miasteczka, jak dzieci przyglęśli do nas i starali się to przywiązanie wszelkimi sposobami wyrazić. Chcieli na znak wdzięczności ofiarować nam podarunek, ofiarowali złożyć pieniądze na utrzymanie nasze, obiecali starać się o wszelkie wygody, byleśmy tylko dłużej z nimi pozostali, „bo nam jeszcze nigdy tak dobrze nie było, jak teraz, gdy księża z nami są.“ A gdy przyszedł czas odjazdu naszego, cały dziedziniec probostwa był ludźmi napelniony, żeśmy się zaledwie gwałtem z rąk ich wydrzeć mogli. Nauki dawane głębokie uczyniły wrażenie, co się szczególnie, przy spowiedziach okazało, szczególniejsze okazał Bóg zlitowanie nad tém miasteczkiem.

W czasie pobytu naszego w tém mieście, oprócz zwykłych nauk miałem mowę pogrzebową na ekzekwiach Pani T. Była to osoba już w wieku, w całej okolicy znana, poważana i kochana. Mieszkała we wsi . . . o ćwierć mile od Ciężkowic. Gdy te nieszczęśliwe wszczęły się rozruchy, męża nie było w domu, syn uwięziony, jedna tylko córka P. B. przy niej bawiła; dla słabości, staruszka wstać nie mogła z łóżka, aby w ucieczce szukać ratunku. Gdy lud w téj wiosce, idąc za przy-

kładem innych, burzyć się począł, jeden z poddanych ofiarował się przechować ją bezpiecznie w swój chacie; zaledwie ją tam przeniesiono, tłuszcza rozjuszona napada dwór, wszystko niszcząc i pustosząc. Pani T. przerażona temi wypadkami, dręczona bolesnym niepokojem o życie męża i syna, uledz musiała tym wzruszeniom. Czując się bliską śmierci, żądała księdza, z niebezpieczeństwem życia przybył do niej wikary z Ciężkowic, i zaopatrzył Ś. Sakramentami. Pojednana z Bogiem spokojnie ducha oddała, w ubogiej chacie, na lichęj złożona słomie! Za jej duszę mąż i dzieci ekzekwie sprawiali, na które liczna familia i sąsiedzi się zjechali. W czasie całego nabożeństwa, a szczególnie nauki, w której wyłożyłem te wszystkie w okolicy zaszłe wypadki, nieszczęśliwe położenie i stan osób pozostałych z których każda bolesne poniosła dla serca straty, a wszechgólności opisując w najdrobniejszych szczegółach ostatnie chwile bolesne Pani T. wszystkich oczy łzami były zalane, lud słuchał jakby starty poczuciem swojej winy, z spuszczonemi w dół oczyma, tylko łkania i westchnienia przerywały grobową ciszę, która otaczała rzesisto oświetlony katafalk. Jeden człowiek w tym tłumie ludzi wsparty koło

katafalku, przysłuchiwał się z tą uwagą i spokojnością, jaką sprawia przekonanie niewinności, był to ten sam, który dał w domu swoim przytułek, i z niebezpieczeństwem własnego życia, Pani T. ostatnią przysługę wyświadczył. Chciał się tego dnia spowiadać lecz dla wielkiego natłoku ludzi precisnąć się nie mógł. Obiecałem córce Pani T. na-
 zajutrz pierwszego go wypowiadać. Lecz Pan Bóg inaczej rozrządził. Nagłą śmiercią przed spowiedzią umarł!!! Na próżno starali się niektórzy i tu lud przeciw nam podburzyć i nieufność ku nam w ich sercach wzbudzić. Wszelkie zabiegi ich były nadaremne, codziennie liczniej się zgromadzał, nawet i z odległych, o parę mil wiosek. Jeden z morderców, w czasie tych nauk gdy lud z kościoła wychodził, publicznie się na mnie odgrażał, ale téjże saméj nocy apopleksyą tełnięty, życia dokonał, co niemałe na wszystkich uczyniło wrażenie. Jednéj nocy, wszystkie kładki na rzecze, które z każdéj strony do miasta wchodząc, trzeba było przebyć, pozrzucano, ale i to nic nie pomogło, lud w głębokich brnąc wodach, pospieszał do słuchania słowa Bożego. Z kilku parafii przychodzili ludzie pytając i żebrząc abyśmy i do nich przybyli. Do Pani D. . .

któręj męża okropnie zamordowano we wsi Gromniki o milkę od Cieszkowic położonej, przychodzi raz, jeden z jęj poddanych, pada do nóg, i błaga na miłość Boską, aby szkody jęj poczynione mu darowała, obiecując wszystko jęj wynagrodzić pracą swoją, i powrócić aby tylko mógł co prędzej spowiedź swoją w Cieszkowicach odprawić. Pani D. uczyniwszy zadość woli jego, i zdziwiona tém oświadczeniem, gdyż lud w Gromniku od czasów krwawych tamże popełnionych mordów, ciągle zuchwałym i nieugiętym się okazywał, zapytała o przyczynę téj zmiany. Chłop opisuje jęj nauki nasze. Ciekawością zdjęta przyjeżdża sama do Cieszkowic, a wysłuchawszy jednodniowe nauki, i poznawszy, jaki pływ mają na lud zebrany, wieczorem odwiedziła nas, przekładając prozbę swoją, byśmy do nięj dla dawania podobnych nauk zjechać mogli, na co chętnie zezwoliliśmy, byle tylko pozwolenie wyjednała w konsystorzu, gdyż nasze upoważnienie rozciągało się tylko na dekanat Bobowski cyrkulu Sandeckiego, a Gromnik należał do obwodu Tarnowskiego. Prawdziwie z żalem serdecznym opuściliśmy Cieszkowice, widząc tak szczególniejsze łaski miłosierdzia Boskiego, nad miaszkańcami tego miasta, któ-

rzy przez szczere dokładne spowiedzie, odstąpienie i wyrzeczenie się niegodziwych nałogów, zwrócenie i wynagrodzenie podług możliwości szkód poczynionych, pojednanie z Bogiem, nowe rozpoczęli życie. To wewnętrzne uczucie, tak się malowało na ich twarzach, objawiało się w tych oznakach wdzięczności dziecięcej, téj nieograniczonej ufności, którą nam w czasie pobytu naszego okazowali. Zabawiwszy tu 8. dni, powróciliśmy do Sącza, na krótki wypoczynek, nim dalsze rozpocznem wycieczki! Dziękując Bogu za łaski jego, które i nam i ludowi okazał. Może by kto zapytał: jakież więc pożytek z tych missji wyniknął? O! wielki, bardzo wielki! Wiara obumarła ożywiona, sumienie uspięne przebudzone zostało, tyle, tyle świętokradzkich spowiedzi poprawionych, lud względem powinności swoich oświecony, zrozumiał i poznał dokładnie przykazania Boskie. Czynił albowiem wiele złego z niewiedomości grubéj: „ja niesądził, że to grzech, żebym był wiedział, byłbym tego nigdy nie uczynił.“ Prawda, takie nowe życie obudzone w sercach ludu, troskliwie utrzymywaćby potrzeba, aby ta delikatna roślinka nie uschła, aby ta rozdmuchana z popiołów iskierka nie zgasła! i choć przez kilka lat odnawiać pamiętkę tego odro-

dzenia dusznego, lecz bądź jak bądź, zawsze pamięć tych nauk, żyć będzie w wielu sercach, i owoce błogosławione przyniesie. Złe co się jeszcze wydarzać będzie i wydarzać musi, ludzie widzieć będą, ale tego widzieć nie będą, ile złemu się zapobiegło! Nie nam więc ale Bogu jednemu chwała, cześć i dzięki niechaj będą po wszystkie wieki. *Ego plantavi, Apollo rigavit, Deus incrementum dedit. Amen.*

30. Czerwca 1847.

LIPNICA.

Przy nieznośnym upale, wypocząwszy dni kilka, opuściliśmy Sącz, aby się udać na miejsce przeznaczenia naszego. Już słońce za góry zachodziło, gdyśmy do dużej wioski Lipnicy wjeżdżali. Gwar i szmer, jako zwykle o téj wieczornéj godzinie, powracających trzód i ludzi rozlegał się do koła, tak różny od tych języków, krzyków i wrzawy morderczéj, która przed kilku tygodniami zawichrzyła spokojność téj wioski i sumieniem jéj mieszkańców, i ten spokój i ta cisza złowróźbna, jaka częstokroć opanuje serce po popełnionej zbrodni, od czasu, gdy sumienie przebudzone rozpaczać

poczyna. Taki pokój nie raz nad samą rozpacz straszniejszym się objawia. Widok wiosek naszych tak bolesne w tych czasach wzbudzał w sercu myśli. Zerwane te związki patryarchalne, które łączyły pana z włościaninem; między panem a włościaninem, między ojcem a dziećmi stanęła zbrodnia. Potok krwawy, jako granica, który tylko miłość Chrystusa przekroczyć może, rozdziela uczucia. Przekonanie zbrodni i krzywdy nie dają się zbliżyć włościanom do Pana, lub raczej do Pani, którą wdową uczynili; a ona, gdy chce podać rękę ludowi, poznaje na niej krew dziecka własnego! i to odwrócenie umysłów, tak bolesne czyni wszelkie stosunki, między dziećmi na jednej ziemi zrodzonymi. Lecz w Bogu nadzieja, że gdy te pierwsze bolesne wrażenia i uczucia czas osłabi, wszystko do dawnego powróci porządku; nie, że lepiej daleko będzie. Oby ta krew i te łzy wypłaciły długi grzechów nie tylko naszych, ale i przeszłych pokoleń, które ściągnęły gniew Boski na tę ziemię! Oby to odpuszczenie krzywd wyjednało nam odpuszczenie przewinień naszych u Boga, a tém samem ściągnęło na nas miłosierdzie Boskie. Oby wszyscy, lud i Panowie, wzajemne krzywdy i urazy puszczając w zapomnienie, podali

sobie dłonie, i jedność, zgoda i miłość, jak kwiat nadziei lepszej przyszłości, zakwitł na niwach naszych.

Ukryte pomiędzy drzewami u stóp stromej góry leży pomieszkane proboszcza, którego zastaliśmy w ganeczku siedzącego. Z patryarchalną uprzejmością powitał nas siwy już staruszek, i po pierwszym powitaniu rozpoczął nam opowiadać smutne w ostatnich czasach zdarzenia zaszłe w parafii jego. „Było to w Niedzielę: w obieg puszczone wieści o rzezi tarnowskiej od chaty do chaty, od wioski do wioski przechodziły. Parafianie moi jednak zdawali się zupełnie spokojni i licznie na nabożeństwo się zebrawi. Jednak gdym do nich przemówił, zachęcając ich do porządku i posłuszeństwa, dał się słyszeć jakiś szmer nieukontentowania między ludem, z kościoła wychodzącym. Po nabożeństwie odprawił się chrzest dwojga dzieci Pani K., która przed dwiema dopiero laty za mąż poszła i w poblizkiej wiosce, którą w dzierzawie mąż jej trzymał, mieszkała. Na ten chrzest przybyła także P. Z., dziewczka Lipnicy, z synem, około 20 lat mającym. Po odbytym śtym obrzędzie zaprosiłem ich na obiad. Jakaś trwoga i niepokój napelniał serca nasze. Gdysmy tak w posępnem obiadowali mil-

czeniu, jacyś obcy ludzie z kosami i drągami zaczęli się pojawiać na dziedzincu. Domyśliłem się łatwo o ich zamiarach, żadnego ratunku niewidząc. W krótkim czasie przyłączyli się parafianie moi, i cały dziedziniec zbrojnym ludem nappełnił się. Do domu mego gwałtem wejść jeszcze się nie wazyli. Wyszedłem na ganek i spokojnie żądałem, aby ustąpili, w jakim celu się tu zgromadzili, pytając. Odpowiedzieli, iż przechowują powstańców i żądają, aby im takowych wydać. Powstańców żadnych u mnie nie masz, tylko dobrze wam znajomy P. K. i syn tutejszej kolatorki. Lecz oni gwałtem o wydanie tychże domagali się. Tego nie uczynię. To my i ciebie i ich przemocą dostaniem! Cóż chcecie z nimi uczynić? Odwieziem ich do Sącza, do cyrkułu. Ja sam to uczynię, dajcie waszą wartę, a ja mojemii końmi do cyrkułu ich dostawię. Niechcieli na to przystać, wrzawa i zgiełk coraz groźniejszym się stawał. Wróciłem do izby, nie wiedząc sam, co tu radzić i czynić. Młody Pan Z. porywa krucyfiks ze stołu, przyciska do ust i serca i zwrócony do P. R., „niech się dzieje wola Boża, rzecze, chodźmy!“ Zaledwie lud ich ujrzał, przypadłszy do nich, krępuje ręce powrozami, a matka i żona nie-

szczęśliwych stały przy oknie. Posłano po furę i kazano im iść; zaledwie doszli do figury śgo Jana, (i tu wskazał na kapliczkę o 20 kroków odległą, nad małym strumyczkiem, który dzielił kościół od probostwa) zatrzymała się ta zgraja zbójcka, naradzając się, co tu począć. Jeden z motłochu występuje i mówi: Co się mamy z nimi wozic, lepiej zaraz ubić, i to mówiąc, pierwsze cięcie zadaje siekierą, pada młody Pan Z. na ziemię i ginie pod siekierami oprawców. Krew i mózg zbroczyły mury kapliczki, która dziś jeszcze okazuje ślady tego morderstwa. W czasie mordowania P. Z. udało się P. K. wymknąć z rąk zbójckich, byłby się może ucieczką wyratował, ale przebywając potok, o kamień zawadził i upadł; dopędzony od tych, co za nim w pogoń ruszyli, nożami na żerdziach osadzonemi skłuty został! a matka i żona stały w oknie, widząc i słysząc wszystko, co się działo. Dopełniwszy krwawego dzieła, część téj tłuszczy nie syta krwi, szuka nowych ofiar i niestety znajduje. Kilka jeszcze osób, z liczby sług dworskich, utracą życie; inni zaś napadają dwór i folwarczne budynki, część została przy probostwie, wali się do izby, przetrząsa sprzęty, i trochę pieniędzy, com miał, zabiera z sobą,

wypróżniwszy do szczeru spiżarnie. Większa zaś część, jako potok wezbrany wali się na wieś, która kilku cząstkowych liczy panów i najhaniebniejsze popełnia bezprawia, niszcząc, pustosząc całe mienie biednych wdów. W jednym z tych dworów Pani O. córka rzuciła się na ojca, już na ziemię obalonego, aby własném życiem ocalić życie ojca. Bóg atoli cudownie i ją i ojca od śmierci ochronił. Obszerne opowiadanie swoje (krótkimi słowy tu zebrane) dokończył sędziwy proboszcz. Mrok był już ciemny zapadł i mgła dżdżysta osiadła na całej okolicy. Tylko przeraźliwe wycie starego brytana przerywało grobową ciszę na tym dziedzińcu, krwią niewinną zbroczonym. I zabłysło światelko w izbie proboszcza, który zaprosiwszy nas na wieczerzę, dalej rozmaite w tych okolicach zaszłe opowiadał nam zdarzenia, nie raz jeden łzy z oczu ocierając. Odprowadził nas do porządnój izdebki dla nas przygotowanėj; smutno i ciężko było mi na sercu. Pod tym dachem, o! ileż to serce matki i żony wytrzymało, ta podłoga od łez ich jeszcze mokrą mi się być zdawała, w szumie wiatru, który nieustannie z rzęsistym deszczem bił o okiennice, przez których szczeliny, przesuwający się przez ciemne chmu-

ry księżyc zazierał, zdawało mi się słyszeć i wrzawę oprawców i jęki ich ofiar. Czułem się osłabionym na duszy i na ciele, a dotkliwe w krzyżach boleści nie dały mi usnąć aż nad rankiem. Polecivszy się Bogu, po odprawionej mszy stój, rozpocząłem nauki wspólnie z księdzem S. Kościół stary, ciemny, wilgotny, był niegdyś bóżnicą aryańską, lecz gorliwy Trzeciecki wypędził Aryanów i tę bóżnicę przemienił na kościół katolicki. Posąg jego z pięknym napisem z marmuru wyrobiony, z prawej strony wielkiego ołtarza, przypomina tak błogo starą cnotę i wiarę panów polskich. Po pierwszej nauce lud głośno szemrać począł, mówiąc, że my od panów przekupieni. Dowiedziawszy się o tém, i że się na mnie zmaiwiali i odgrażali; na nieszporych, wstąpiwszy na ambonę i widząc lud tłumnie i groźnie zgromadzony, po zwykłym pozdrowieniu „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,“ począłem wprost od tego: wy mówicie, że my, przekupieni od szlachty, tu przysłani jesteśmy; tak jest, przekupieni, przysłani jesteśmy, ale nie od szlachty, nie od cesarza, bo my na tem miejscu ani cesarza, ani pana, ani chłopą nie znamy i nie lękamy się, tylko tego jednego, który nas tu do was przysłał,

i przed nim tylko rachunek będziem zdawać ze słowa każdego, co do was mówimy i t. d. nakoniec dodałem, jeśli wam nie dosyć zbrodni, jeśli jeszcze pragniecie zmazać ręce wasze w krwi niewinnój, chodźcie, nie przeleknę się ani cepów, ani noży waszych, bo mi nie idzie o życie moje, ale o zbawienie wasze i umierając, jeszcze wołać będę: nawróćcie się do Boga waszego! i t. d. W największej cichości słuchali słów tych, które grzmiałym głosem do nich przemówilem, i odtąd nietylko że w największej pokorze i uszanowaniu tłumnie się zgromadzali, ale za wyrzeczony przepraszali groźby i wymawiali się z nich; taką ufność w kilku dniach pozyskałiśmy u nich, że, jakem z boku posłyszał, umawiali się pójść do biskupa z prozbą, aby to uczynił, byśmy z nimi pozostali na zawsze. Jeden z morderców, wzruszony tém całym nabożeństwem, takie poczuł zgryzoty sumienia, że nie mogąc ich już znieść, sam się wydał w ręce urzędu prosząc, aby za morderstwo zasłużoną odebrał karę. Wiele osób z pobliza na nauki się zjeżdżało, i przystępowało do Śtych Sakramentów, który to przykład na lud prosty najzbawienniej działał. Pani K., której męża, jakem wyżej wzmiankował, tak okropnie

zameczono, znalazła pociechę w nieszczęściu
swojem, w czasie téj misyi, chociaż blisko o milę
odległości mieszkając, żadnej nie opuściła na-
uki. Kiedy Bóg wielkiem dotknie nieszczę-
ściem serce czyste i szlachetne, to też i mi-
łosierdzie Jego szczególniejszym objawia się
sposobem. W Pani K. miałem tego jasny do-
wód. Młoda, delikatna, traci w jednej chwili
męża i tak okropną śmiercią. Zostaje wdową
z dziećmi małemi, bez żadnego prawie utrzy-
mania, bo szczupły jój mająteczek do szczeru
zrujnowany został. A jednak nie traci ufno-
ści w Bogu, nie traci tego wewnętrznego
pokoju, jakiego tylko dusza Bogu wierna w tak
smutnem położeniu doznawać może. Prze-
szłość Bogu w ofierze złożyła, przyszłość zdała
na Jego opatrność, cierpi, ale cierpi bez roz-
paczy i narzekania, zawsze uśmiech na jój
ustach, zawsze łza w jój oku. Bawiliśmy w Li-
pnicy przez ośm dni, z konfesyonau wyjść nie
można było. Z Lipnicy jednego dnia wyje-
chać musiałem w pilnym interesie do Ciesz-
kowic. Zaledwem wjechał do miasta, gru-
chnęła wieść po wszystkich domach, zajecha-
łem do P. B. Mieszczanie zbiegli się, aby mnie
powitać, sądząc, że na dłuższy czas przyby-
łem, ale dowiedziawszy się, że zaraz po połu-

dniu wyjeżdżam, zaczęli nalegać i prosić, abym przynajmniej na odpust Zielonych Świątek zjechał do nich z księdzem S., z którą to prozbą już pierwój byli ułożyli udać się do ks. R. do Sącza, gdy i inni na to nalegali i proboszcz miejscowy usilnie prosił, musiałem zezwolić i przyobiecać. To przywiązanie i zaufanie ludu tak szczerą mi radość sprawiło. Są to polaciechy, któremi Pan Bóg w dobroci i miłosierdziu swojem tak hojnie nagradza liche prace dla chwały Jego podjęte. Pożegnawszy proboszcza i lud cały, odjechaliśmy, dzięki Bogu składając, za wszystkie łaski Jego na tém miejscu doznane.

30. Czerwca 1847.

GROMNIK.

Wyjechawszy po południu z Lipnicy stanęliśmy wieczorem w Cieszkowicach w wigilią Zielonych Świątek. Wysiedliśmy wprost przed kościołem, gdzie już liczne tłumy ludu zgromadzone były. Przy śpiewaniu litanii, i pieśni nabożnych, z różnych stron nadciągały liczne oddziały pobożnego ludu. Poszliśmy do konfesyonału, gdzieśmy aż do późnej nocy spowiedzi słuchali. Za ledwie słońce wschodzić

poczęło, gwar ludu i odgłos pieśni pobożnych przebudził nas, i poszliśmy słuchać spowiedzi. Kilku księży z okolic pomogło nam. Towarzysz mój ranną miał naukę, ja miałem kazanie na summie, na które wiele osób z okolicy się zjechało, znajdowała się i załoga wojskowa. Stary wachmistrz, po kazaniu przyszedł dziękować mi w imieniu całej załogi za naukę i do nich zastosowaną, dodając, iż odkąd w wojsku służy, po raz pierwszy zapłakał. Był tu także proboszcz z Gromnika, który usilnie prosił, abyśmy z Cieszkowic do Gromnika zjechali, na cośmy chętnie przystali. Zapowiedziałem więc ludowi przybycie nasze do tego miejsca. Przez cały ten dzień aż do późniejszej nocy słuchaliśmy spowiedzi. Nazajutrz toż samo. Wiadomość o naszym przybyciu rozeszła się po całej okolicy, z dalekich stron od Tarnowa, Jasła i t. d. niejedni i nie jedna z sumieniem ciężkimi zbrodniami obciążonem od wielu lat, przybyli, aby się z Bogiem pojednać. Z odbytych w tych dniach spowiedzi Bogu nieskończone niechaj będą dzięki! W poniedziałek świąteczny ks. proboszcz z F. zaproszony był z kazaniem, lecz ponieważ nie nadjechał, wysłano mnie z konfesyonału, abym go zastąpił, com chętnie uczynił, a Pan Bóg błogosławił.

We wtorek po południu słuchaliśmy spowiedzi, po czem w deszcz i burzę, udaliśmy się do Gromnika! Cwierć mili od Gromnika leży wieś Hojnik, gdzie mieszkał brat męża Pani D.

W czasie tych zaburzeń, w pierwszych zaraz dniach, nie obawiając się żadnego napadu, P. D. wyjechał do brata z P. T. i P. D. bratem żony na partyą wista, zalecając żonie, aby czekała powrotu jego, nie długo bowiem obiecując. Zaledwie do gry zasiedli, dają znać, iż chłopci zbrojni, na dziedzińcu się uszykowali. P. D. wzięwszy pałasz do ręki wychodzi do nich, pytając, czego by żądali. Przyszliśmy rewizyą czynić, czy nie ma tu broni ukrytej. Chodźcie za mną i szukajcie, to rzekłszy szedł naprzód, a kilku z chłopów za nim. Lecz zaledwie wszedł w ganek domu, siekierą w głowę ciętym został. Obrócił się i tak się dzielnie bronił pałaszem, że nikt do niego przystąpić nie śmiał. Ale jeden chłop zaszedłszy mu z tyłu i kosą ciąższy, obalił go na ziemię. Wtedy dopiero przypadli do niego i okropnie zamordowali. Inni z pokoju to widząc, ucieczką ratować się chcieli. P. D. brat w domu, P. T. w piwnicy, P. D. przez płot ogrodu przełaząc, ubici zostali. Zrabowawszy dom cała tłuszcza, pociągnęła do Gromnika.

Noc już była późna i ciemna. Pani D. z dziećmi czuwała, oczekując w wielkiej niespokojności powrotu męża, przerażona wyciem psów wiejskich, które poczuły zbliżanie się téj tłuszczy, co pod zasłoną nocy od nikogo z dworskich sług niepostrzeżona, w cichości podstaąpiła pod dwór, opodal od wioski położony. W jednym momencie brzękły potraskane cepami szyby. (było to zwykle hasło przybycia tych hord). Zrywa się P. D. porywa dzieci chce uchodzić, ale dom dokoła otoczony; oddaje jedną kobiecie której zawierzyć mogła, dzieci, aby je ukryła na wsi, sama z izby do izby, z P. M. ucieka, ścigana wrzawą, zgiełkiem i łoskotem siekier i cepów, niszczących wszystkie sprzęty domowe. Kryje się w izbie czeladnej, tu ją rozjuszona tłuszcza, szyderczo pyta o męża, o którego straszną śmierć już ją w czasie téj wrzawy wieść była doszła, a niewidząc dzieci przy niej, szukając onych po wszystkich zakątkach, dowiadują się, że są na wsi, wysyłają kilku z pomiędzy siebie, aby takowe zabić, sami pustoszą dom do szczętu. Podłogę rąbią, piece rozwalają, obicia ze ścian zdzierają, rozkładają wielki ogień i palą wszystkie książki i papiery, a zabrawszy wszystko co było do wzięcia: suknie, srebro, bieliznę,

opuszczają dwór, aby inne tymże sposobem poniszczyć budynki. Wielkie wódki zapasy wypuszczają, zboże częścią zabierają, częścią w wodę i bagniska wysypują. Stadninę, bydło, rozdzielają pomiędzy siebie, ale jeszcze krwi im było potrzeba. Sędzia miejscowy i kilka innych osób pada z ich ręki najboleśniejszą śmiercią. Cała wieś w okropnym zamieszaniu. Pani D. sama pozostała w domu, wszyscy ludzie dworscy, jak mogli ucieczką się ratowali. Ona jedna wpośród tych gruzów spustoszenia, łzami zalana, w rozpacz nad skonem okropnym męża, pełna trwogi i niepokoju rozdzielającego serce o życie dzieci, straszną tę noc przebywa. Anioł stróż nad dziećmi jęj czuwał. Gospodyni proboszcza wiedząc, jaki koniec ich czeka, gdyby je znaleziono, nieustraszona, przybywa do chaty, porywa najmniejszego, starszym każe iść za sobą i ścieżką ukrytą wraca na probostwo. Napadnięta w drodze przez kilku rozjątrzonych chłopów, którzy te dzieci wydrzeć jęj usiłują, gromi ich odważnie słowem od Boga natchnionem i szczęśliwie przyprowadziwszy do domu, od dalszych kryje napaści. I na probostwo napada tłuszcza rozjuszona, szuka, przetrząsa cały dom, wyrywa podłogę, śmiercią księ-

dzu zagraża, ale jednak niedokonawszy téj zbrodni, odstepuje, i z krzykami zwycięztwa jak chmura ciągnie w pobliskie wioski przy gasnących już gwiazdach nocy. Słońce wschodzące oświeciło to miejsce rozpacz, jęków i boleści, które jeszcze wieczorem tak spokojne, swobodne i szczęśliwe było. Pani D. w jednéj nocy straciwszy męża, brata i całe mienie, z łzami rozpaczliwéj radości przyciska do serca uratowane sieroty! Lud rozhukany uspokoić się nie dawał. Pani D. ciągle o życie dziełek drżała, lecz dla różnych przyczyn, ani sama się z tego miejsca oddalić, ani dzieci wysłać nie mogła. Lud ciągle zuchwałym się okazywał do tego stopnia, że gdy P. D. z dziećmi do kościoła przychodziła, ławeczka jéj babami napelniona była, z których żadna jéj miejsca nie ustąpiła, że nawet ledwo mogła znaleźć kącik aby klęcząc z dziećmi Mszy Świętój wysłuchać. Odradzano nam przez bojaźń chłopów, aby tam nie jechać. Ludzie odradzali, ale Bóg powołał. Nazajutrz po naszym przyjeździe, rozpocząłem nauki, Patrząc na P. D. z biednymi sierotami w grubéj żałobie, które bolesnie odbijały od tych białych sukman ludu, co ją tak nieszczęśliwą uczynił. Uniesiony uczuciem boleści, ze łzami

w oczach, przedstawiłem ludowi okropną zbrodnię której się dopuścił tak żywo i dobitnie, że rozumiał po raz pierwszy i poznał niegodziwość swoją, z której dotychczas zdawał się chęlcie i wynosić. A gdym im skazał na P. D. które wdowę i na te dzieci, które sierotami uczynili, złodowaciałe roztajały serca. Łzy i westchnienia posępną przerywały ciszę. Zstąpiłem z ambony, dzieci P. D. ze łzami na szyję mi się rzuciły, wołając: oni nam ojca zabili! widziałem na ten widok łązy w oczach blisko stojących, była to jedna z najmilszych i najboleśniejszych chwil życia mego. Bawiliśmy tu przez dni dziewięć, cała okolica, jak w dzień wielkiego odpustu w ruchu była. Ze wszystkich stron, aż od Tarnowa i Zakluczyna, lud gromadnie ciągnął do Gromnika, z konfesyonału ledwo na chwilę wyjść było można. Rano o piątą i pierwą czekali już ludzie przed drzwiami naszej izdebki, aby łatwiej do spowiedzi docisnąć się mogli. W wieczór do dziewiątej i później trzeba było siedzieć w konfesyonale. Obaj księża i tu wiernie nam dopomagali. Nie trzeba było dzwonić zwoływać ludzi do kościoła, który od świtu do późnej nocy, zostawał jak w oblężeniu. Kompanie zdala przybyłe koczowały

przez całą noc pod gęstym cieniem starych lip, na cmentarzu kościoła Gromnickiego. Restytucyi niemało nastąpiło, a co więcej dobrego miłosierdzie Boskie tu zrządziło, Bóg jeden wie. Gromada parafii B. najwierniej uczęszczała na nauki i do spowiedzi, lecz tém niezadowolona, złożyła z własnego popędu kilkadziesiąt talarów w ręce proboszcza swego, na nasze utrzymanie, prosząc aby się przyczynił i wystawił, abyśmy i do nich przybyli, a widząc trudności, umyślili z tą prozbą udać się do konsystorza, lecz pomimo najszczerzej chęci, niemogliśmy woli ich zadosyć uczynić. Djabeł nie próżnował, gdzie mógł i jak mógł przeszkody stawiał. Toż samo i P. E. z P. (gdzie proboszcza miejscowego własny lud zamordował) której męża i syna dorosłego zabito, z tąż prośbą umyślnie do nas do Gromnika zjechała, którą kilkakrotnie listownie powtarzała i sama osobiście w tym celu udawała się do konsystorza, ale i to żądanie jej nie z naszej winy skutecznionem być nie mogło. Dziedzic Gromnika ojciec P. D. przybył w czasie pobytu naszego, wiele też innych na te nauki zjeżdżało się osób, którzy o ich pożytkach przekonali się. Pewien urzędnik jadący z Tarnowa, widząc całe gromady ludu idące

do Gromnika, dowiedziawszy się o przyczynie, ciekawością zdjęty, sam na to miejsce zjechał. Trafił właśnie na naukę o sędzie ostatecznym; gdy ujrzał, jako lud cały w czasie téj nauki rzucił się na ziemię, jęcząc i płacząc, błagając o przebaczenie, obiecując poprawę. Gdy ujrzał ten porządek, spokój, wpośród takich mas ludu, bez najmniejszego nadzoru straży, wojska, gdy posłyszał wszystko, co się dotychczas dobrego tu działo, zuchwałość poskromioną, i duch ludu zupełnie zmieniony, rozczulony wyrzekł, iż po tem, co widział i słyszał, powinnością jest jego przyłożyć się ile możności do tego, aby te missye tarnowskie rozciągnęły się po całym obwodzie. Trzeciego dnia pobytu naszego w Gromniku P. D. wywołała mnie z konfesyonału, okazując list konnym posłańcem jój nadesłany, aby czem prędzej uciekała, gdyż o dwie mile od Gromnika w kilku wioskach lud na nowo powstał, niszcząc, rabując, co jeszcze w całości zostało. Doradziwszy jój, aby minuty czasu nietracąc z dziatkami do Tarnowa uciekała, sami pomimo prośb jój, zostaliśmy na miejscu, i z wielką radością przy téjże okazji doznaliśmy skutku naszej pracy, gdyż te pogłoski, które po części przesadzone były, chociaż niestety prawdziwe,

ludu bynajmniej nie zbałamuciły, lecz nabożeństwo z największem zbudowaniem odbywało się, co też nakłoniło P. D. powrócić do domu, lecz w parę dni niemogąc tyłu boleściom i wzruszeniom oprzeć się, uległa słabości tak, że z łóżka wstawać nie mogła. Gdy razu jednego pogrzebne nabożeństwo w kościele się odprawiało i stósowną do okoliczności miałem naukę, myśl okropnej śmierci męża, którego zwłokom w niepoświęconem zakopanym miejscu, ostatniej czci oddać nie mogła, tak boleśnie zraniła serce, iż omdlałą wyprowadzić z kościoła musiano. Odwiedzałem ją, pocieszając, jak mogłem, w wolnych chwilach, w téj małej, nędznej chłopskiej izdebce, gdzie ze służącą, dziećmi i siostrą, mieszkać musiała. Wspomniałem tu mimochodem o tych osobistych boleściach, aby została pamięć tych cierpień, przez które kto nie przechodził, lub zbliża im się nie przypatrzył, ani wyobrażenia o nich mieć nie może. O, mógłbym całą książkę zapisać cierpień i boleści, na które własnymi patrzałem oczami, lecz te tajemnice krwawych łez, które powierzone mi były, zapisane są w księdze sprawiedliwości Boskiej! świat szczęśliwy, świat wesoły, tańcząc i śmiejąc się na grobach, ani

by pojąć ani podzielać nie umiał! Jedenaście dni bawiliśmy w Gromniku. Wielka była tu praca, ale większa pociecha. Za co Bogu chwała, cześć, dzięki na wieki. Amen.

3. Lipca 1847.

WILCZYSKA.

W wigilią Bożego Ciała opuściliśmy z nie-małym żalem Gromnik, udając się do Wilczysk, wioski w obwodzie sandeckim położonej. W czasie tych rozruchów Pani M. z synem schroniła się na probostwo, mąż jej nie był w domu pod ów czas, sądząc się tak najbezpieczniejszą. Ale wieczorem tłumy chłopstwa, rabujące i mordujące po całej okolicy, i tu się przywały, ciągnąc wprost na mieszkanie proboszcza, pod pozorem ukrytych powstańców. Dawnego uszanowania dla księży pomiędzy ludem najmniejszego śladu nie pozostało, a że jeszcze przy życiu pozostali, to z téj przyczyny, że lud widział ich potrzebę dla chrztów, ślubów i innych obrzędów religijnych, chociaż i to nie wszystkich zasłoniło, wielu bowiem księży zginęło krwawą śmiercią z rąk własnych parafian, a daleko więcej sromotnie zelżonych, związanych, chłopci do urzędu

obwodowego odstawili, jak złoczyńców. Zabrawszy, co się wzięść dało, już chłopci wychodzić poczęli, gdy jeden przypadkiem ujrzał młodego M., którego matka biedna za drzwiami była ukryta. Zawyla tłuszcza radośnie, wyciągając go z ukrycia, żadnych przedstawień proboszcza, prozb i łez matki nieszczęśliwej nie słuchając, wzięwszy pomiędzy siebie, wloką do karczmy. Lecz gdy już dobry kawał od domu odeszli, młody parobczak wraca do rozpaczającej matki, obiecując jęj za dobrą nagrodę uwolnienie syna. Przystając na wszystkie jego żądania, z radością ujrzała wkrótce syna w objęciu swoim, na którego już byli wydali chłopci krwawy wyrok śmierci, lecz nim go wypuścili, musiał im wydać, w jakim miejscu matka, uchodząc z domu, pieniądze i srebro ukryła, które zabrawszy i po czyniwszy nie mało szkód, dopuszczając się rozmaitych bezprawiów, opuścili Wilczyska.

Dziwnie opatrność boska w tych czasach nad niektórymi czuwała, których prawie od pewnej wybawiła śmierci. Ileżby tu przykładów przytoczyć można! Parę tylko dołączę z tych wielu, które mi jeszcze w pamięci pozostały. Trudno albowiem do uwierzenia, aby w tak krótkim czasie tyle tak dziwnych, tak

rozmaitych, tak nadzwyczajnych wypadków i zdarzeń stać się mogło. Każdy dwór, każda wioska była widownią takich scen, każdy dwór, każda wioska teraz ma swoje pamiątki, swoją historią krwawą, bolesną, ale częstokroć rozczulającą, bo obok wielkich zbrodni i w tych czasach nie raz wielkie cnoty i poświęcenia jaśniały, jak piękne gwiazdy na horyzoncie krwawym, grobowym, pokrytym kirem. Historia tych kilku dni ze wszech miar jest ważną i oczekuje biegłego pióra, aby ją we wszystkich szczegółach rozebrano i opisano; będzie oraz historią boleści serca ludzkiego, i niestety nędznej natury ludzkiej, ale i straszłą nauką: co to jest człowiek sam sobie zostawiony, który od Boga, a od którego Bóg odstąpił. W jednym z okolicznych dworów dziedzic był wyjechał, zostawiwszy żonę z dziećmi w domu. Gdy to powstanie ludu tak raptownie, jak górski potok wezbrany, rozlało się po całej okolicy, o ucieczce ani pomyśleć można było. Gdy dają znać, że chłopci ciągną na dwór, Pani sama, dzieci, sługi padają krzyżem przed obrazem Matki Boskiej, śpiewając hymn „Pod Twoją obronę.“ Wpadają chłopci do dworu, na widok tego obrazu, blasku świec zapalonych, stają jak wryci, przysłuchu-

jąc się pieśni pobożnej i odkrywszy głowy, zegnają się i cichuteńko jeden po drugim się wynosi, nie uczyniwszy żadnej, najmniejszej szkody. Potrafi Marya i dziś obronić tych, którzy w niej ufność swoją pokładają, bo chociaż my Jój niestety za królową naszą uznać nie chcemy, ona przecież matką i królową naszą być nie przestała, i w tych czasach ci, którzy się pod Jój opiekę udali, Jój opieki doznali, jako doznał P. S., który pocięty kosą, żadnego szwanku nie odniósł; kosa bowiem trafiła na medalik cudownej Matki Boskiej i we dwoje się zgięła, na który widok przestraszona tłuszcza ucieka. Nie chcę tutaj powtarzać opisywania nieskończonych łask boskich, cośmy, jak wszędzie, tak i tu doznawali. Miewaliśmy, jak zwykle, nauki nasze po 2 godz. rano, po 2 po obiedzie. Oktawa Bożego Ciała, codzienne processye, wystawienie Najśw. Sakramentu nie mało się przyczyniło do ożywienia ducha pobożności, żalu i skruchy w sercach ludu, który, jak wszędzie, tak i tu tłumnie się zgromadzał, tak na słuchanie nauk, jak i do odprawienia spowiedzi. Wiele téż osób z różnego stanu uczęszczało do tego kościoła, w czasie ośmiodniowego pobytu naszego na tém miejscu. Ostatnią na-

ukę miałem na cmentarzu, przy pogrzebie matki tutejszego proboszcza, po której, pożegnawszy lud, powróciliśmy na parę dni odpoczynku do Sącza, sądząc, że na ten czas już misye nasze zakończone, gdyż oprócz Korzenny nie mieliśmy wyznaczonego miejsca, a chociaż z różnych stron zapraszano nas tak w obwód tarnowski, jak bocheński, musieliśmy czekać na zezwolenie konsystorza. Lecz wracając do Sącza, wstąpiliśmy do dziekana, który usilnie upraszał, aby zjechać do parafii podolskiej i różnowskiej, na co chętnie przystawszy, postanowiliśmy, wypocząwszy cokolwiek, najpierw udać się do Podola. Dziękując Bogu za udzielone nam łaski i prosząc, aby w miłosierdziu swoim i nadal nas nie opuszał.

4. Lipca 1847.

PODOLE.

Jałmużna od śmierci wybawia. Niedaleko Podola żył stary szlachcic, wdowiec, z córkami w dziedzicznój wiosce swojej, Pan B. Przed kilkoma laty prowadzono transport więźniów przez podwórze dworu jego do Wiśnicza. Było to w zimie, wiatr ostry gęstym pruszył śniegiem, Pan B. stał na ganku i ujrzał w gro-

madzie tych więźniów, jednego młodego, który z odkrytą głową, schorzały i obdarty, ledwie nogi wlec mógł. Miłosierdziem zdjęty zdejmuje P. B. czapkę z głowy i daje takową więźniowi. W czasie rozruchów banda chłopów napada dwór i zabiera się do rabunku. Naczelnik wchodzi do pokoju, aby się z panem po swojemu rozprawić, ale w tém poznaje w nim tego, co go był niegdyś czapką obdarzył, i przypomniawszy mu to, zwołuje ludzi swoich i bez najmniejszego uszkodzenia osoby i majątku Pana B., cała banda się oddala. Niedaleko Podola jest klasztor OO. Reformatów. Jednego wieczora, już późno, dzwoni ktoś do fórty. Fórtyan, widząc znajomego P. L., zdziwiony tak późnemi odwiedzinami pyta o jego żądanie. „Proszę mnie natychmiast do Ojca gwardyana zaprowadzić.“ Może Pan do jutra zaczekasz, bo już późna noc. „Nie, mam pilny interes.“ Uczynił zadosyć braciszek żądaniu jego. Przyszedłszy do gwardyana, prosi o spowiednika dla odprawienia spowiedzi z całego życia. Gwardyan radzi czekać do jutra, lecz on nagli. Odprawia spowiedź dożywotną, resztę nocy spędza na modlitwie, a skoro świt, prosi aby mu dano komunią śtą. Zaledwie przyjął Przenajś. Sa-

krament, gwar, hałas, jęki bolesne przed kościołem słyszeć się dają. Krew nie jednej ofiary płynie po kamiennych płytach przedkościelnych, wpada chłopstwo do świątyni, wyciąga przemocą Pana L. i morduje przed samymi kościelnymi drzwiami, poczem największych w samym kościele dopuścili się bezprawiów, rabując, znieważając księży, rąbiąc obrazy i posągi śtych, i t. p. Jednego brata kwestarza, biorąc go za szlachcica przebranego, na drodze pokaleczono, a w Tarnowie dobito. Szczególniejsze przeczucie bliskiej śmierci Pana L. okazuje, że Bóg w miłosierdziu swoim nie opuści i nie da bez pojednania się z Nim zejść z tego świata, którzy za życia od niego nie odstępowali, ale też sprawdziły się nie raz jeden te straszne słowa: „Wolałem, a nie słuchaliście mnie, będziecie mnie wzywać, a ja odwrócę oczy moje!“ Ileż to było takich, którzy błagali, prosili, zaklinali morderców swoich, aby im przed śmiercią księdza zawołali i dali się wypowiedać, ale prośba ich wysłuchaną nie została. „Oj, rzekli do jednego, ty się chcesz spowiadać teraz, a czemuś się nigdy pierwój nie spowiadał? A czyż my cię choć raz jeden w kościele widzieli? nie, teraz nie będziesz miał księdza.

Czy pamiętasz, mówili drugiemu, jak to ty w kościele nie ugiąłeś nigdy kolana i śmiałeś się, i włosałeś sobie szczoteczką poprawiał? oj my cię teraz zfryzujemy.“ Daj Boże, aby szczerą skruchą, ofiarując za grzechy męczeństwo swoje, prześlągali gniew Boski, i odpuszczenia grzechów dostąpili. Takie i tym podobne wypadki wydarzone w okolicy opowiadał nam młody, bardzo uprzejmy proboszcz Podola, do któregośmy przybyli wieczorem w wigilią Śtych Apostołów Piotra i Pawła. W samem Podolu żadne wprawdzie zabójstwo popełnione nie zostało, nie tak dla braku chęci ofiar, lecz wynagrodzili to sobie Podolanie, po innych przeciągając miejscach, zrabowawszy najprzód dwór własnego dziedzica. Była tu u mnie Pani D., która we dworku za wsią mieszkała. W nocy napada ją banda rozbójnicza, mąż ucieczką się ratował, ona sama z małą dzieciną przy piersiach w domu została. Żądają pieniędzy, lecz takowych nie miała; nie wierząc jej słowom, i chcąc ją zmusić, porywają dziecko i rzucają je w piec piekarski na rozżarzone węgle. Matka, widząc to, olbrzymią siłą oprawców roztrąca i dziecko z ognia wyrывa. Co widząc cała banda cichaczem się wyniosła. Dziecię żyje

i zdrowe, chociaż całe popalone zostało. Rozpoczęliśmy zwykłym trybem nauki nasze w kościele filialnym, do téj parafii należącym, Śtych Apostolów Piotra i Pawła. Kościółek w odludnym zakątku, pomiędzy lasami i potokami, napelniony był ludem i wielu z sąsiedztwa przybyłemi osobami. Nazajutrz prowadziliśmy dalej nauki nasze, przy wielkiém zebraniu ludu przez dni ośm w parafialnym kościele podolskim. Miłosierdzie Boskie przebywało ciągle z nami i biednym ludem, co poznawszy swoje zbrodnie z prawdziwym żalem i skrucął się do spowiedzi. Odebraliśmy tu parę listów, zapraszających nas do dawania nauk, lecz mając miejsca oznaczone, nie mogliśmy tym żądaniom zadosyć uczynić. Ukończyliśmy nauki nasze nabożeństwem żałobnem, procesyą przy niemałym i nieudanem rozrzewnieniu ludu i nas samych. Bogu chwała i dzięki za wszystko.

5. Lipca 1847.

ROŻNOW.

Po stroméj górze, krętej, krzemienistej i korzenistej drodze, wjechaliśmy na dziedziniec probostwa. Tak pięknej, zachwycającej okolicy nie łatwo widzieć się zdarza. Wieczór

był ciepły, spokojny, obłoki gorzały czerwonym blaskiem nad szczytami lesistych gór, cisza uroczysta panowała do koła, zaledwie wieczorny wietrzyk tu i owdzie rozrzuconych brzóz lekkie kołysał gałązki. Tylko Dunajec, jak wąż o srebrnej łusce pomiędzy opoczystymi kręcił się skalami, rozmaite wysepki formując, które jak klomby zielone na kryształowej zdawały się pływać powierzchni, z chmurek przejrzystych, na ciemnem tle błękitu porozrzucanych, gwiazdki wykradać się poczęły, jakiś urok dziwny spoczywał na całej okolicy. Po pierwszym, szczerem powitaniu, poprowadził nas proboszcz do kościoła, w którym największy porządek zastaliśmy. Wisiały po ścianach obrazy fundatora pięknego kościołka. Ołtarz wielki dziwnie pięknie urządzone, drzewami wonnemi umajony i przystrojony, cmentarz kościelny okolony staremi, rozłożystemi lipami; w jednéj, z której rój pszczołek, jak nieustającą przed Stwórcą swoim brzęczał harmonią, a wpośród gęstych konarów zawieszony dzwon, czystym dźwiękiem zwoływał lud, aby spieszył oddać cześć i chwałę Bogu swemu. Z cmentarza widok zachwycający na całą otwierał się okolicę. W dali, jako olbrzymie posągi, znane tropskie okazywały

się skały, żyzne niwy i pola z pożółkłym już kłosem stały się u stóp jodłami porośniętych pagórków; bliżej piękny zamek z zabudowaniem gospodarskiem i ogrodem, a na przeciwległej skały grzbiecie, ponure zwaliska potężnego zamku Hebdów. Wąską, przykrą, wężykowatą ścieżką dostaliśmy się do tych ruin, i usiadłszy na omszałym glazie, proboszcz opowiadał nam zdarzenia, w tej wiosce zaszłe w tych czasach niepokoju. Potrafił lud swój do tego nakłonić, że nie tylko rąk swoich krwią nie mazał, i sumienia rabunkiem nie obciążał, ale przeciwnie stanął w obronie mienia Pana swego. Cała wieś pod bronią we dnie i w nocy czuwała, aby obce bandy nie wtargnęły w granice różnowskie, promy podcinano, a gdy jedna horda gwałtem napaść chciała zamek różnowski, przyszło do bitwy, w której kilku chłopów padło, kilku pojmanyh zostało. Nie dla przypadłych więc bezprawiów, ale na żądanie proboszcza przysłano nas tu, aby lud w dobrem usposobieniu potwierdzić. W czasie tego opowiadania krzyk, czy raczej świst przeraźliwy w dali słyszeć się dał. Zerwał się raptem proboszcz przerażony, ale wkrótce, uśmiechnawszy się, usiadł, mówiąc: „Strach i dreszcz mnie przejmuję,

gdy posłyszę taki świst, któregom się w tych bezsensnych nocach podostatkiem nasłuchał; było to hasło, którem te bandy łączyły się, idąc na mordy i rabunek. Góry i brzegi Dunaju roiły się zbrojnym ludem, a każdy świst taki był złowrogą przepowiednią krwawych bezprawioów nocnych. Gdy pierwszy szal tego krwawego szaleństwa przeminął, mówił dalej proboszcz, i umysły uspokajać się zdawały, przypadł odpust w moim kościele. Ludu nieznanomego mi, cała liczna kompania przybyła; to mnie trochę niepokoić zaczęło. Właśnie wychodziłem ze mszą, gdy na podwórzu wrzask okropny powstaje. „Polacy rzną, uciekajcie!“ W jednej chwili lud się rozpierzchł, a ludzie ci nieznani, zaczynają rabować kościół, ten postrach od nich zdradziecko rzucony był, aby lud miejscowy, spokojny rozproszyć. Właśnie wychodziłem z zakrystyi, gdy ci tamże się cisnęli, potracony, zatoczyłem się na drzwi, które (i okazał nam) palec mi zgmiotły i zgruchowały. Tym sposobem kościół zrabowany pozostał i do dziś dnia, ani szkody odzyskać, ani sprawców téj zbrodni wynaleść nie można. Ta dziwaczna pogłoska, że Polacy i Pانونie będą lud wyrzynać, piekielnie wymyślona i między lud już rokiem przed temi zaburze-

niami w obieg puszczona, pomimo całej niedorzeczności swojej, mocną wiarę u ludu znalazła, i nie mało się przyczyniła do téj wściekłej zawziętości ludu. Przy opowiadaniu proboszcza podobnych wypadków i zdarzeń, zmrok wieczorny przeszedł w noc ciemną, nietoperze tylko, snując się po zwaliskach, świstem przeraźliwym przerywały głuchą ciszę, a Dunajec jednostajnym szumem u stóp skały wtórował smutnym opowiadaniem. Powróciliśmy na probostwo, z którego okien widok się okazywał na te piękne ruiny i na przyboczną górę, gdzie jeszcze widzieć było można pomniki aryańskiego cmentarza. Lud dobry, przychylny, tłumnie na nauki się zgromadzał, oczyszczając sumienie swe szczerą spowiedzią. Tu, jak wszędzie prawie wszystkie spowiedzie były dożywotne. Ośm dni bawiliśmy na tem miejscu. W tymże czasie zjechał tu dziekan na wizytę i ztąd udał się do Tropia, umówiwszy się z nami, abyśmy po skończonej misyi w Rożnowie, udali się do Korzenny. Lecz gdy przybył do Tropia, lud rzucił mu się do nóg, prosząc, aby o nich niezapomniał, i postarał się o to, abyśmy i do nich przybyć mogli. Proboszcz połączył swe proźby tem bardziej, że zbliżał się odpust sławny Śgo Swirarda

i Matki Boskiej Szkaplerznej. Mieliśmy więc przyobiecać na ten dzień tamże zjechać i przez całą zabawić oktawę. Nabożeństwo w Różnowie zakończyłem nauką, na cmentarzu mianą, przy pogrzebie jednego wieśniaka; dziękując Bogu za wszystkie łaski jego i tu doświadczone, opuściliśmy Różnow, aby choć na pięć dni zjechać do Korzenny, gdzie nas oczekiwano.

7. Lipca 1847.

KORZENNA.

Drobnem mżyło deszczem, jakby przez gęste sito, gdyśmy, wyjechawszy koło południa z Różnowa, po lesistej, przykrój drodze, przyjechali do Korzenny, wioski w odludnym zakątku położonej. P. K. z bratem, wspólni tej wioski dziedzice, z których jeden żonaty, drugi kawaler, po zrujnowaniu i spustoszeniu dworów od własnych poddanych, mieszkający w Sączu, umyślnie tu zjechali, i najuprzejmiej przyjęli. U proboszcza mieliśmy nocleg, u nich obiad i wieczerzę, kościół bardzo pięknie utrzymany. Lud dziki, zapuszczony, chociaż na miejscu nie mógł się krwią zmazać, od-

wetował to w okolicy, lecz całą złość i wściekłość wywarł przy pustoszeniu i rabowaniu dworu i budynków gospodarskich do tego stopnia, że jednego kwiateczka w oranżeryi, w wazonie nie zostawił, i w ogrodzie planty i krzewy wyrywał z korzeniami, a nie mogąc mścić się na żywych, targnął się na umarłych, i dobył się do grobu zmarłego prałata, wuja P. K., szukając złotego łańcucha, w którym, wiedział, że tenże przed dawnymi czasy był pochowany. Chociaż w ogóle biorąc, lud tu-tejszy daleko twardszym i obojętniejszym, jak gdziekolwiek się okazał, i pomimo że tam przez cały ten czas pobytu naszego, pańszczyzna opuszczoną i darowaną była, leniwo i nie tak licznie zbierał się na nabożeństwo i nauki; inne smutne przyczyny były powodem téj opie-szałości i nieufności ludu, jednak wszędzie ma Bóg swoje dusze wybrane i dziwne są drogi opatrności Jego. Mieliliśmy kilka tu wypadków tak pocieszających, że łatwo poznać było można, na co, i dla kogo nas tu P. Bóg powołał. Bawiliśmy tu przez dni pięć tylko, spiesząc uiścić się z danego słowa w Tropiu. Lecz gdy PP. K. tak gorliwi i staranni o dobro i poprawę ludu, żadną miarą puścić nas nie chcieli, musieliśmy pisać do Sącza prosząc, aby



przysłano 2ch księży, którzyby nas zastąpili w Korzenny. Widząc, że to zdanie sprawy czynności naszych missyjnych nazbyt rozwlekłém się stało, chciałbym jak najzwieźlejš one zebrać, nie powtarzając już opisań miłosierdzia i łask Boskich nam i ludowi wyświadczonych. To jedno przekonanie dać mogę, że takie przechodzące misye wiejskie są jedynym środkiem do poprawienia i oświecenia ludu naszego; jedna pojedyncza nauka nigdy nie odniesie tego skutku, co taki ciąg nauk połączonych, do zrozumienia potrzeb i pojęcia miejscowych zastosowanych i łatwiej tym co w grzechach się zanurzyli, przed obcym księdzem, do którego raz ufności nabrali, wynurzyć sumienie. Przeto wielu świętokradzkim zapobiegało się spowiedziom, wiele takowych się poprawia. Pamięć takiego nabożeństwa tkwi długo w umyśle ludu i jest wielkim na zbrodnie i grzechy hamulcem, zresztą i samo nabożeństwo i modły zebranego ludu, łzy i żal szczery ściągają błogostawieństwo Boskie i rozbrajają gniew Jego, ustają w wiosce zgorszenia, cudza krzywda się nagradza, pojednania w małżeństwach, w sąsiedztwie zgody, posłuszeństwo, pobożność wracająca w skutek tych nauk na każdym miejscu widzieć się dawały. Bóg za-

wsze błogosławi pracy, z miłości ku niemu podjętój. Amen.

8. Lipca 1847.

TROPIE.

Święty urok zdaje się panować, i jakby błogosławieństwo szczególniejsze nieba unosić się nad miejscem poświęconem pamiątką ŚS. Pańskich. Tak jakoś błogo i spokojno duszy, i łatwiej się tu modlić i zbawienniej rozmyślać, za wstawieniem tego Świętego, którego cnoty, przykłady i zasługi, zostały jakby spuścizną tego miejsca, które był za życia pokochał, na którym żył i umierał, i dla tego nie bez szczególniejszego rozrzewnienia zbliżaliśmy się do tego miejsca. Sławne w całej okolicy skały tropskie, przy świetle wschodzącego księżyca jako widma nocne, na zielonych łąkach się wznosiły jakby przeglądając się w przejrzystych falach Dunajca, który je czał wijąc się u stóp ich. Na przeciwległym brzegu, wdziały się jak kraniec barwisty łąki, ogrody, sady, i chaty wieśniacze, i piękny pałacyk P. G. wpośród wianka topól wysmukłych, odbijał białością murów od ciemnego tła lasów i borów odległych. Cała oko-

lica ożywiona była gwarem i śpiewem wracających żeńców i tu gdzie krew płynęła, te pieśni i głosy wdzięczniejszemi się być zdawały, witani radośnie tém tak czulem powitaniem, które od razu serce z sercem wiąże: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Toczył się z głośnym po kamienistój drodze turkotem nasz wózek, i mijał szybkim pędem chatę po chacie, zagrodę po zagrodzie, i wkrótce ujrzelśmy wieżyczki kościelne wyglądające nad wierzchołkami rozkwitłych lip, a wpośród skał dziwacznych i gęstój drzewiny, dymu ciemny słup podnosił się poważnie w powietrze, jakoby wskazując nam probostwo, i wkrótce zaiskrzyły się okna i stanęliśmy na podworcu pięknego pomieszkania proboszcza, który bardzo uprzejmie nas przyjął. Staruszek bernardyn powitał nas do izby wchodzących, którego gorliwy proboszcz, wyprosił do pomocy z klasztoru bernardynów w Tarnowie. Tu przy wieczery, już nie o mordach i zbrodniach, ale o cudach i podaniach ludu, o S. Swirardzie, zajmująca toczyła się w noc późną rozmowa. Przy pierwszym porannem ptasząt leśnych świergotaniu, udałem się do kościoła aby przed obrazem S. Pustelnika, patrona téj okolicy a szczególnie téj wioski, polecić się

Jego świętej opiece, na czas pobytu naszego i na całe życie. Rozpoczęliśmy nauki nasze w Piątek, lud który prośbą swoją nas tu sprawdził, zgromadzał się licznie, i wiernie trwał aż do końca naszych tu dawanych nauk. Z nie-mniejszą gorliwością i z najlepszem przygotowaniem przystępował do ŚŚ Sakramentów, (ksiądz bernardyn, wraz z nami po całych prawie dniach z konfessyonału nie wychodził). Dla mnie, ponieważ zabrakło konfessyonałów, więc w Babińcu przez cały ten czas na trumnie tamże złożonej, spowiedzi słuchałem. Jeśli to poznanie zbrodni popełnionej, w innych miejscach lud bojaźliwym i nieufnym ku nam czyniło, osobliwie w samych początkach przybycia naszego, tu tej zapory między nami a ludem nie było, i zaraz po pierwszej nauce przylgął lud całym sercem i to przywiązanie i radość swoją z naszego przybycia, jak mógł, wszelkimi sposobami starał się okazać. Nazajutrz po przyjeździe naszym, przy zachodzie słońca, ukończywszy prace nasze w kościele, poszliśmy do kapliczki S. Swirarda; kapliczka ta na skale potężnej, w kształcie głębokiej jaskini, w której podług podania ludu przemieszkiwał S. Swirard, zbudowana; leśna, kręta, korzenista droga do niej prowadzi, po

nad brzegiem, w posuszne czasy zaledwie są-
 czego się strumyka. W pośrodku tej dość
 obszernej i pięknie utrzymanej kapliczki, jest
 ołtarz, na którym posąg S. Swirarda, z drze-
 wa pięknie wyrobiony. S. Pustelnik klęczy,
 siwa spływa broda po pas, oczy w niebo wznie-
 sione, ręce na krzyż złożone, w około bioder
 przepasany ciężkim żelaznym łańcuchem, jaki
 zwykł był nosić za życia. Jakaś dziwna bło-
 gość i rzewność na tej maluje się twarzy, i cięż-
 ko od niej oczu odwrócić. Uklękliśmy przed
 zakratkowanemi, na klucz zamkniętymi drzwia-
 mi, i pomodliwszy się szczerze, bo zda mi się
 że kto nawet nigdy w życiu się nie modlił, to
 tu bez czułego nie mógł się modlić wzrusze-
 nia. Opodal od tej kapliczki, z twardej opoki
 wytryska źródło, źródłem S. Swirarda zwane,
 gdyż podług podania: S. Pustelnik ztąd wodę
 czerpał; wielu cudownych skutków, osobliwie
 w bólu oczu, doznano w tej wodzie. Przy
 tém źródółku usiadłszy, słodkie chwile prze-
 spędziliśmy, które gdy czas był po temu, po-
 wtarzały się dla nas po każdym niemal za-
 chodzie słońca. Zastaliśmy tu szkołkę para-
 fialną w najlepszym porządku, i dziwna różnica
 zaraz w oko wpada między diatkami, które
 uczęszczają do szkoły i drugimi. W całym

zachowaniu, ułożeniu, tak w kościele jako i za kościołem, a szczególnie w mowie i przy słuchaniu spowiedzi zaraz ich rozróżnić można! Oby ci wszyscy, którzy powstają na takie szkółki wiejskie, chcąc dowieść onych nieużyteczność i szkodliwość, przekonali się raz, jak mylne i czcze ich rozumowania, a podobno te wszystkie trudności jedynie z opieszałości i niechęci przyłożenia się czynnego do téj pracy pochodzą. Bez dozoru, opieki, ciągłego nadglądu, zaiste nie się nie uda, ale szczególnie bez szczerego zamięłowania biednego ludu, te wszystkie, wedle formalności patentów, założone szkółki, żadnych nie zdołają wydać dobrych owoców. Aby nasz chłopiek umiał tylko czytać i pisać i trochę rachunków, więcej mu nie potrzeba, a w ten czas postarawszy się o książki, wyłącznie dla potrzeb ludu wiejskiego napisane, tak religijne, moralne, jako i gospodarskie, wkrótce ujrzelibyśmy odmianę po wszystkich wsiach naszego kraju; ucząc się czytać i czytając, nauczyłyby się zatrudnić i wolnego czasu w karczmie trawić by nie potrzebował. Co na tym świecie być może, co się wszędzie zbawiennem okazuje, czemużby tylko u nas niepodobnem i zgubnem być miało? Zaiste nie szkółki, nie oświata, ale zły sposób

urządzenia i prowadzenia tych szkółek, ale rodzaj tej oświaty, albo żadnego, albo najzłobniejszy wyda rezultat. Twierdzenie, że lud nasz nie jest zdolny do tego, jest śmieszne bezzasadne i niegodziwe. Czyż Pan Bóg w gniewie swoim lud polski stworzył, żeby go nad inne miał upokarzać? czyż inny rodzaj duszy wlał w tę lepiankę, z innej ziemi uformowaną? Wiele, wiem, czynią niektórzy zarzutów, na które, nie tu miejsce odpowiadać; lecz zdaje mi się, że tu więcej na dobrą chęć naszej zbywa, jak na zdolnościach ludowi naszemu! W niedzielę przypadał dwojaki odpust, Matki Boskiej Szkaplerznej i S. Swirarda. Tłumy ludu, z chorągwiami, śpiewając pieśni nabożne, już w sobotę wieczorem, z bliższych i odległych zbierały się okolic!

Najpiękniejszą pogodą Matka Boska pobłogosławiła dzień ten! Tysiące ludu powitały wschodzące słońce; cisnął się do kościoła, aby cześć i pokłon oddać temu słońcu wszelkiej sprawiedliwości, co w upokorzeniu swoim ukrywało się, pod przypadłością chleba na Ołtarzu! a lud niemogący się wtłoczyć do Świątyni Boga żywego, w tym wielkim kościele, któremu błękitny widnokrąg służył za sklepienie, zgromadzony na cmentarzu kościel-

nym, śpiewał z rozczulonego serca godzinki i koronkę do Matki Boskiej. Zobopolna jakaś radość, zaufanie, pobożność, wszędzie widzieć się dawały. Lud snuł i roił się po wszystkich zakątkach, szukając tylko sposobu, aby się mógł do konfessyonału docisnąć, księży z okolicy kilkunastu się zjechało. Spowiedzi gdzie kto mógł, słuchaliśmy. Wiele osób z sąsiednich wiosek, przybyło dla odprawienia nabożeństwa.

Pierwszą naukę o Matce Boskiej szkaplerznej miał ksiądz S. po której nastąpiła wotywa, po wotywie przy odgłosie dzwonów i śpiewaniu Litanii ruszyła procesya, do kapliczki S. Swirarda, w największym porządku. Najpierw szły młode dziewczęta, niosąc ile pamiętam obraz Matki Boskiej, za niemi kobiety, po nich parobcy i gospodarze. Zakrętami drogi, wijąc się brzegiem potoku, ta cała massa ludu wynosząca przeszło 10,000, postępowała wolnym krokiem ku lasowi. Słońce już przyświecało, rozmaite chorągwie nad głowami ludu powiewały, głosy Boga wzywające po całej grzmiały okolicy, echami tych skał odbijane i powtarzane. Przyszliśmy do kapliczki, lud po całym rozproszył się lesie i uszykował w porządku. Kapliczka już napełniona była przybyłymi z sąsiedztwa osoba-

mi. Ksiądz bernardyn rozpoczął mszę S. śpiewaną. Po Credo stanąwszy na skale u drzwi kaplicznych, zacząłem naukę, i P. Bóg w miłosierdziu swoim tak potężnego użyczył mi głosu, że na wierchołku przeciwległej głębokim parowem od kapliczki rozdzielonej góry, wszystkie słowa wyraźnie dosłyszeć można było. Opisawszy życie S. Swirarda na tej puszczy, jego miłość, którą miał ku rodzinnej ziemi, na którą ściągnął tyle błogosławieństwa Boskiego, przeszedłszy na teraźniejsze w tych okolicach zaszłe wypadki, które jako Boga tak i S. Swirarda miłość w gniew przemieniły, który odtąd niechce być dalej tych stron Opiekunem, przestanie wstawiać się za nami do Boga, jeśli łzami pokuty nie zmyjemy grzechów naszych. Łzy i łkania westchnienia jako szum liścia, po całym rozeszły się lesie, lud wzruszony pada na kolana, wyciąga ręce do S. Patrona swego, jakby błagając o przebaczenie, rzewność i wzruszenie na wszystkich malowała się twarzach, nawet celebrujący bernardyn, w kapłańskim ubiorze wsparty o róg Ołtarza, ocierał łzy, co z pod brwi nastrzępionych się cisnęły! Modlitwą do S. Swirarda, błagającą o pomoc i opiekę, jakiej ta okolica do tych czas od niego doznawała, zakoń-

czyłem naukę, i siadłszy na pniu ściętój jodły, słuchałem z innemi spowiedzi aż do ukończenia Mszy S. W czasie nauki, słońce rzucając promienie, co przez ciemne jodły, szybami okien kaplicznych wkradają się, oblało uroczym blaskiem statwę S. Swirarda. Białe siermięgi i sieraki odbijały od ciemnych jodeł, zdawało się jakby dwa lasy były, jeden biały, żyjący, a nad nim martwy, zielony, jakby w powietrzu się unosił. O jaki to rozrzuwający był widok, gdy w czasie podniesienia dzwonek srebrnym głosem, jakby głosem Anioła, przemówił do ludu: „oto Bóg nasz na ziemię zstępuje“ na ten głos, las zdaje się żyć, szmer, gwar, płacz, westchnienia ludu kołującego się przed Bogiem rozlegają się do koła i w głęboką przechodzą ciszę, którą tylko głos donośny kapłana, kiedy Ojciec-Nasz zaintonował, przerwał. Msza S. się zakończyła, i tym samym porządkiem powróciliśmy. Mieliśmy jeszcze dwie nauki wczasie i po nieszpórach, reszta dnia przeszła na słuchaniu spowiedzi aż do późnej nocy. Z własnego popędu, gmina tutejsza wysłała do nas deputacyą, ze starych gospodarzów złożoną, na złożenie nam podzięk. Przez całą oktawę tu zabawiwszy, powróciliśmy na parę dni odpoczynku do Są-

cza. Bogu i Smu. Swirardowi chwała, cześć
i dzięki za wszystko.

9. Lipca 1847.

STANIĄTKA.

Wyjechaliśmy rano z Sącza; przejechawszy Bochnią przy zachodzącym już słońcu, późno w noc zbliżyliśmy się do Staniątek. O jak miło było spojrzeć przy blasku księżyca na te poważne, pamiątkami tylu wieków poświęcone mury klasztorne! Wjechaliśmy na podwórzec obszerny, w klasztorze wszystko było cicho i ciemno, tylko w oknach celki samój ksieni blask świecy się odbijał. Powitani serdecznie od braci naszych, rozgospodarowaliśmy się, jak w domu. *O quam bonum et jucundum, fratres habitare in unum!* — Staniątka, to miejsce tak ciche i swobodne, ten klasztor, z którego same dobrodziejstwa spływały na całą okolicę, nie uszedł zniewag i boleści: z tego kościoła wywleczono modlących się przed Najśw. Sakramentem księży naszych, i pobliskiej parafii proboszcza, i znieważonych, zbitych, skrepowanych do obwodowego miasta, Bochni, przywiedziono; na tym dziedzińcu, pod oknami mniszek tłumy ludu rozjuszonego wyrabiały bez-

prawia najokropniejsze, domy urzędników miejscowych spustoszone i zrabowane zostały. Sedzia miejscowy i 4, czy 6 innych osób krwią swoją zafarbowali piękną dziedzińca murawę, zginęli straszną śmiercią pod widłami i cepami chłopstwa, inni poranieni, pokaleczeni, zładowani na kilku wozach, pod strażą chłopów pijanych i jakby wściekłych do Bochni przystawieni zostali. Klasztor gwałtem napadnięty, bramy wywalone, po wszystkich zakątkach, strychach, piwnicach i celach szukano ukrytej broni i powstańców. Byłyby te bezprawia dłużej trwały, ale na szczęście dwóch powstańców na koniach z Wieliczki tu przybyło. Na ich widok, jakby piorunem rażony, cały tłum chłopstwa w oka mgnieniu się rozproszył i więcej się nie pojawił. Siedzieliśmy późno w noc na ganeczku przed oficyną, gdy razem głos dzwonka klasztornego przerwał tę ciszę północną; mignęły w oknach światełka, i wkrótce z chóru anielskie głosy mniszek szłyszeć się dały, tak prosto do duszy idące, tak rzewne i tkliwe, jak serca tych, które się Bogu w tych murach poświęciły; i znów wszystko ucichło i tylko głos stróża nocnego posępny, ponury, przypominający, żeśmy jeszcze na tej biednej, nędznej ziemi. Kościół staniątecki starodawny,

poważny, wspaniały, na ołtarzach obrazy Śtych zakonników i panien reguły Śgo Benedykta. W ponurój, ciemnej, przybocznej kaplicy starodawna posrebrzana statua Matki Boskiej bolesnej, siedmiu mieczami przebitój, tak wskroś serce przenika; w téj kaplicy, gdzie w najjaśniejszy dzień świeca do mszy Ś. zapaloną być musi, dla ponurego mroku, który nigdy z niej nie ustępuje, codziennie mszą Stą odprawiałem. W téj kaplicy jest obraz ofiarowany przez generała niegdyś wojsk austriackich, a dziś generała Trapisty Geramba, przedstawiający cudowną historią nawrócenia jego, która tu początek wzięła. Na przybocznym ołtarzu krucyfix, do którego wiąże się historia tego kościoła i klasztoru. Gdy bowiem książę Jaksą z żoną swoją, ufundowawszy ten klasztor, w którym córka jego Wizena była mniszką, a potem ksienią, uczynił zapis całego majątku na ten klasztor. Aż tu rodzi mu się synek. W wielkim zostając frasunku, wyzuwszy się z całego majątku, co począć, pisze o radę do córki Wizeny. Przed tym więc krucyfixem modląc się, posłyszała głos: „Niechaj ochrzczą to dziecko i nazwą Dojutrek.“ Uczyniono to i dziecko nazajutrz umarło. Ciała Jaksy, żony i Dojutrka w tym kościele spoczywają. Ksieni z ca-

Ilem zgromadzeniem, uradowana naszém przy-
 byciem, przyjęła nas najuprzejmiej. Nie chcąc
 w bliższe wchodzić szczegóły pobytu naszego,
 dodam tylko, że szczególniejsze błogosławień-
 stwo Boskie zdawało się na tém miejscu to-
 warzyszyć pracom naszym. Mieliśmy tu co-
 dziennie 6 nauk, oprócz nas, pięciu księży świec-
 kich i reformat z Wieliczki, od świtu aż do
 późnej nocy słuchaliśmy spowiedzi. Cała nad-
 wiślańska okolica, a szczególnież od Niepoło-
 mie tłumnie spieszyła do Staniątek na słucha-
 nie nauk i oczyszczenie sumienia swego, co-
 dziennie dwie msze ś, śpiewane, jedna rano
 wotywa przy towarzyszeniu organów, druga
 summa przy towarzyszeniu całej orkiestry, którą
 klasztor utrzymuje. W przestankach, mniszki
 na chórze modlitwy swoje pięknym, na głosy
 podzielonym śpiewem odprawiały. Tak chwala
 Boska ciągle brzmiała w tym kościele i o 10tej
 jeszcze nocnej godzinie, i później lud się za-
 silał chlebem anielskim. Bardzo wiele osób
 z okolicy zjeżdżało się na to nabożeństwo i na-
 uki, na których całe zgromadzenie zakonne
 i konwikt panieński znajdował się. Między
 temi panienkami było kilka, którym ojców po-
 mordowano. W czasie pobytu naszego przy-
 jeżdżali obcy księża i trzech kanoników tar-

nowskich i wyznali sami nadzwyczajne pożytki i dziwny wpływ takich nauk na umysły i serca ludu naszego. Tak szczególniejsze lud ten ku nam powziął zaufanie, iż wolał dwa i trzy dni czekać o kawałku chleba, byle tylko przed nami spowiedź odprawić. Tu także prawie wszystkie spowiedzi były z całego życia. Oprócz zwykłych nauk, w Niedzielę, na usilne proźby proboszcza, po nauce staniąteckiej, musiałem zjechać do B. z kazaniem, po którym z ludem tutejszym na poobiednią naukę do Staniątek powróciłem. Bawiliśmy w Staniątkach przez 12 dni i codziennie napływ się powiększał tak, iż w ostatnie trzy dni ambonę musieliśmy na podwórcu wystawić, gdzie się także i msza S. dla ludu odprawiała. Restytucyi nie mało nastąpiło, codziennie pod wieczór znoszono rozmaite rzeczy na umówione miejsce, aby je odebrać i wręczyć właścicielom. Stary gospodarz z Niepołomic, zabawiwszy dwa dni i przysłuchawszy się naukom, powrócił do domu i żonę, synów, córki z całą czeladzią wysłał do Staniątek z nakazem, aby przed ukończeniem misyi nie wracali do domu. W czasie pobytu naszego, świecka osoba, bawiąca pod ów czas w klasztorze, nagle zachorowała, i żądała, abym ją przyszedł na śmierć zaopatrzyć, przy

której okazyi, z wielką pociechą moją, mógłem całe wewnątrz tego staroświeckiego klasztoru i piękne pamiątki lepszych, błogosławieńszych, ubiegłych wieków przeglądać. Misya ta staniątecka była zaiste jedna z najbłogosławieńszych, a chociaż praca była wielka, pociechy były nie mniejsze. Modlitwy nieustające tylu czystych, wybranych dusz, we dnie i w nocy wznoszące się do Boga wszechmogącego, nie mało łask, miłosierdzia Boskiego i dla nas i dla biednego ludu naszego wyjednały. Dwunastego dnia, selennie zakończywszy nabożeństwo, mieliśmy się udać do Brzeżnicy, ale zachorowawszy na mocną gorączkę, musiałem się położyć w łóżko. Ksiądz K. i ksiądz Z. wyprzedzili mnie do Brzeżnicy, aby rozpocząć misyą daniem katechizmu dzieciom, dopóki wyzdrowiawszy nie przyłączę się do nich. Ksiądz C i W. tymczasem w Staniątkach ciągle spowiedzi słuchali. Przy miłosierdziu i łasce Boskiej w trzy dni powróciłem zupełnie do zdrowia, przynajmniej czułem się na siłach do dalszej pracy, i dla tego, nie tracąc czasu, w Sobotę wyjechałem do Brzeżnicy, ale przy samym wyjeździe spotkałem się z księdzem P., który przejeżdżał umyślnie, aby się rozmówić względem dalszych misyi, o które był proszony

do tarnowskiego cyrkułu, do Nagoszyna, Wiewiórki i Oleśny. Stało na tém, iż ja z księdzem K. do Nagoszyna i Wiewiórki, po skończonej misyi w Brzeźnicy, się udamy. Do Oleśnej zaś ksiądz Z., do którego, na dniu umówionym, miał się ksiądz K. przyłączyć. Rozmówiwszy się z księdzem P., pospieszyłem do Brzeźnicy, dokąd już sprowadzono ambone naszą polową i kilka konfesyonałów ze staniąteckiego kościoła. Przybyłem już późno w nocy z Soboty na Niedzielę do Brzeźnicy i nazajutrz rozpoczęliśmy nauki nasze na większą cześć i chwałę Boga.

10. Lipca 1847.

BRZEŹNICA.

Brzeźnica rozległa i piękna wieś ćwierć mili od Bochni położona, wsławiła się w tych czasach zawziętością i zjadłością mieszkańców swoich, którzy spustoszywszy las, zrabowawszy dworskie budynki, popaliwszy sterty i stogi, rozbiegli się po wszystkich drogach do Bochni wiodących, napadali, mordowali, kaleczyli przejezdnych chcących się ratować, a zabitych i rannych zwozili do urzędu obwodowego. Proboszcz staruszek, już od paru lat z łóżka nie

wstaje, jego oszczędzili, ale za to wikaryusza na cmentarzu kryjącego się zbili i jako umarłego do Bochni odstawili. Lecz przy miłosierdziu boskiem wyzdrowiał i inną otrzymał posadę. Na jego miejsce przysłano wikaryusza z miasta Cichowa, któregośmy tu zastali. Lud brzeźnicki dziki, zuchwały, nie okazał najmniejszej radości z przybycia naszego, mało na nauki, a jeszcze mniej do spowiedzi uczęszczając. Ale za to z pobliskich nawet o 6. 7. mil odległych parafii, aż do samego Krakowa ciągnęły procesye ludu tak, iż mało gdzie można było widzieć tyle zebranego ludu. Święty Stanisław przejeżdżając raz przez Brzeźnicę, gdy go noc słotna zaskoczyła, od chaty do chaty idąc prosił o przytułek, ale nigdzie przyjąć go nie chciano, tak że w lesie przebyć tę noc był zmuszony. Odchodząc wyrzekł, iż za karę téj niegościnności, nigdy żaden z téj wsi mieszkańców kapłanem nie będzie, co też do dziś dnia się ziściło. Na tem miejscu gdzie S. Stanisław tę noc przepędził wystawiono kapliczkę, w której corocznie Msza Święta się odprawia. Gdy jedna z daleka przybyła kompania, dla kilku słabych, prosiła o przyjęcie do chat i odmowiono, rzekli: i cóż dziwnego że nas nie chcecie przyjąć, kiedyście S. Stani-

sława nie przyjęli. Pomieszkanie mieliśmy w organistówce, wszystkie najmniejsze nawet potrzeby klasztor zaspokoił, wprawdzie na niczem nam tu nie brakło, ależ i praca mała nie była. Zaprośmy jeszcze jednego z naszych księży sandeckich w pomoc do słuchania spowiedzi, księża z okolicy zbierali się codziennie z parafianami swemi, konfesyonały stały w około dziedzińca kościelnego, bardzo obszernego, w cieniu potężnych lip, które go okolały! Na pierwszą wstępną naukę przybyła ksieni staniątecka z kilkoma mniszkami, i wiele osób tak z miasta Bochni jako i z okolicznych wsi; lud cały ogromny napełniał dziedziniec kościelny, na którym postawiliśmy umyślnie do tego urządzoną ambonę. Msza S. także codziennie na tym dziedzińcu się odprawiała. Każdy z nas miewał dziennie dwie nauki, więc sześć nauk na dzień, którym lud z największą uwagą, pilnością i skrucą się przysłuchiwał. Za każdym razem gdyśmy zstępował z ambony i przechodził przez ten tłum rozstępującego się ludu, do nóg padali, po rękach całowali, dziękując i błogosławiąc. Konfesyonały ciągle w obleżeniu zostawały i nigdy przed jedenastą w nocy, nie mogliśmy się wracać do pomieszkania naszego. Jak miły był to widok,

w wieczór już późno wracając, widzieć ten lud zebrany nie rozkazem ani mocą, nie dla widoków jakiego zysku doczesnego, ale jedynie dla słuchania słowa Bożego, dla oczyszczenia sumienia swego. Porzucają domy, gospodarstwa, zyski, o kawałku chleba o sześć, siedm mil spieszą na dni kilka tam, gdzie ich miłosierdzie boskie wzywa. Gdy już noc ciemna zapadła, lud jeszcze klęczał u stóp ołtarza, zasilając się chlebem anielskim. Nie posłyszał tu nikt ani swarów, ani krzyków, przez cały przeciąg czasu, w takiej masie zgromadzonego ludu, żadna kłótnia nie zaszła, upitego nikt nie ujrzał człowieka, a jednak dla utrzymania tego porządku, ani jednego nie było policyanta. Bóg, który lud ten zgromadził, czuwał nad nim. Przez całą noc dochodziły nas z rozmaitych stron pobożne pieśni na cześć Boga i Bogarodzicy; gdyż po drogach, polach, ogrodach rozłożony był lud. Przy tych tkliwych i rzewnych usypialiśmy śpiewach, te śpiewy jeszcze przed wschodem słońca wołały nas do konfessyonałów, przy których lud już zgromadzony z upragnieniem na nasze czekał przybycie. Ileż to razy zdarzyło się, iż idącym do słuchania spowiedzi, padali do nóg, wołając: Dobrodzieju spowiedzi coprędzej, bo

już nie wytrzymam. Droga z Bochni do Brzeźnicy codziennie napelniała się ludźmi pieszo i wózkami dążącemi. Schódki i cała obszerna ambona dziećmi napchana była zawsze, które się tu z bojaźni natłoku chroniły, i raz jeden użyłem téj sposobności, aby na mojem miejscu, dzieci małe przemówiły do nas nauczając: na co nas Pan Bóg stworzył, jak powinniśmy go kochać i t. d. Lud był tak tém wzruszony, widząc z ambony przemawiające dzieci, że w upokorzeniu i widoczném wzruszeniu słuchał słów jego. *Ex ore infantum perfecisti laudem.* Na zakończenie w Niedzielę ks. kanonik Z. odprawił nabożeństwo z procesją. Ksieni z kilkoma mniszkami zjechała, a po obiedzie na ostatnią naukę, cała Bochnia się wysypała. Wielki dziedziniec kościelny, wszystkie drogi i place wokoło ludem zasłane były, gdy wzniosłszy w górę krucyfix, w imieniu ludu całego przepraszał Boga i obiecywał nawrócenie, szlochanie, łzy i jęki, jako grzmot po całej przestrzeni się rozległy. Wszystkie lipy w około cmentarza i pobliskie drzewa były napelnione ludem, który, wieszając się po gałęziach i konarach, formował drugie, powietrzne audytorjum. Przy wielkiém rozrzewnieniu ludu i błogosławieństwach i dziękczynie-

niach, zakończyłem tą nauką misyą naszą, a zostawiwszy jeszcze do słuchania spowiedzi trzech naszych księży, nazajutrz zaraz z ksienią, która na mnie w Bochni czekała, z zakonnikami i katechetą, wróciliśmy do Staniątek, dla odpoczynku przed misyą nagoszyńską. Bogu chwała i dzięki za wszystko.

10. Lipca 1847.

NAGOSZYN.

Po trzech dniach wypoczynku wróciłem do Brzeżnicy, i ztąd z księżmi K. i Z., zostawiwszy księży C. i S. do słuchania spowiedzi, gdyż lud ciągle się jeszcze garnał i dowiadywał, dokąd jedziemy, „bo choćbyście, mówił, i o dwadzieścia mil jechali, my za wami pójdziemy.“ Po południu wyjechaliśmy do Tarnowa, do tego Tarnowa, po którego ulicach nie dawno jeszcze krew niewinna płynęła strumieniami. Zajechaliśmy do klasztoru księży bernardynów i odwiedziwszy P. K. z Oleśna i P. K. z Nagoszyna, po mile przepędzonym wieczorze, powróciliśmy do pomieszkania naszego, przysłuchiwaliśmy się opowiadaniom najokropniejszych zgroz, których te okolice, a szczególnie Wiewiórka i Oleśno stały się wido-

wnią. Odradzano nam jak najmocniej, abyśmy na te miejsca nie jechali, raz, że niebezpieczeństwo zagraża, a po drugie że te nauki nasze bez żadnego skutku się odbędą. Lecz doznawszy już tyle miłosierdzia i pomocy Boskiej, nie daliśmy się tém odstraszyć, ufając, że, jako dotychczas, tak i nadal Bóg nas nie opuści. Kto w Panu położył nadzieję, zawiedzionym nie będzie. W nocy nadjechał ze Lwowa ksiądz R. i zabawiwszy jeszcze dzień w Tarnowie, udaliśmy się każdy na miejsce przeznaczenia swego. W smutnej, piaszczystej okolicy, o trzy mile od Tarnowa, leży wieś Nagoszyn, której mieszkańcy okrucieństwem swoim tak się odznaczali, że to samo imię postrach w całej okolicy rzuciło. Ztąd bowiem po rzezi pilznińskiej rozpoczęły się te krwawe mordy, w skutek których o kilkanaście mil dokoła nikt śmierci nie uszedł, kto zawczasu ucieczką się nie ratował. W Nagoszynie obficie krew płynęła; między innymi zamordowano księdza Bazyljana, który dla prześladowania tu się był schronił. Nagoszyn i Wiwiórka do parafii należą zasowskiej, lecz w Nagoszynie jest kościółek filialny i ksiądz za staraniem dziedzica przy nim był postanowiony, lecz w tych czasach, musiał się schronić przed

zemstą ludu, i zastaliśmy tylko tymczasowo przydanego księdza bernardyna. P. K., pani tej włości, przyjęła nas z najszczerzą radością do domu swego, urządzonego naprędce, jak się dało po strasznem spustoszeniu, i była obecną przez cały ciąg pobytu naszego tak tu, jako i w Wiewiorce. Majątek jej zupełnie przez chłopów spustoszony został. Z owczarni składającej się z kilku tysięcy owiec drogich, ani jedna nie pozostała sztuka, toż samo z holenderni i t. d. Zniszczono cały sprzęt domowy, wyjąwszy portret samego P. K., który z wielką czcią od chłopów do kościoła przeniesiony, sądzili, że to obraz jakiego świętego. Od pierwszego rozpoczęcia nauk naszych aż do końca, lud tłumnie się zbierał, z największą skruczą i żalem odprawiał spowiedzi swoje, które codziennie do późnej nocy się przeciągały, chociaż mieliśmy do pomocy dwóch księży bernardynów, jednego karmelitę i jednego dominikana, oraz proboszczów z okolicy, którzy na całe dni tu zjeżdżali. Nauki dla ilości zgromadzonego ludu, nie mogącego się w kościele pomieścić, odbywały się na kościelnym dziedzińcu, jakoteż i spowiedzi. Nie mało restytucyi nastąpiło, wracał lud, co tylko miał jeszcze ukrytego, za szkody poczynione

prosił Panią K. o darowanie, co też z rozczulającą łagodnością czyniła. Poznał to lud; i raz wracającej z kościoła do domu zastąpił drogę, i rzuciwszy się do nóg z własnego popędu, błagał o przebaczenie. Jedna z pobliskich gromad prosiła, aby publiczną pokutę na całą gromadę naznaczyć, aby żał swój za to, co popełnili nie tylko przed Bogiem, ale i przed ludźmi okazać mogli. Jeden włościanin, umiejący czytać, przyniósł mi raz kilka książek na-bożnych do oddania; gdym go zapytał, czy więcej nie ma: „było tam i więcej, alem to wszystko spalił, bo to ładaco były książki.“ Zkądże to wiesz? „Bom je czytał, ale o Panu Bogu ani słowa nie było.“ W czasie pobytu mego w Nagoszynie zjechałem raz z nauką do Zasowa, zapowiadając ludowi po skończonej misyi nagoszyńskiej następną w Wiewiórcu. Lud w Nagoszynie, sądząc, że nie powrócę, gdy mnie wieczorem wracającego ujrział, otoczył w radości wóz mój, wołając: Nasz ksiądz do nas powrócił! i wysadziwszy z wozu, prosto na ambonę prowadził. I ten lud tak okrzyczany i sprawiedliwie, tak potulnym, cichym i skruszonym się okazał. Żyd, arendarz, skarżył się, iż zwykle w jednym dniu na miejscowe potrzeby więcej wypotrzebował

wódki, jak przy takim napływie ludu przez cały tydzień w czasie pobytu naszego. Odebraliśmy od H. A. z Machowy list, usilnie nas zapraszający z dawaniem nauk, lecz dla późnej już pory nie mogliśmy jój żądaniom zadosyć uczynić. W dzień Sgo Michała, rano zakończyliśmy przy nadzwyczajnym tłoku ludu, który w processyach ze swoimi proboszczami tu się zgromadził na nabożeństwo nasze, aby po południu takowe rozpocząć w Wiewiórce na większą chwałę Boga.

10. Lipca 1847.

WEWIORKA.

Ukończywszy w sam dzień Sgo Michała uroczystem nabożeństwem i nauką do tłumnie zgromadzonego ludu misye w Nagoszynie, rozpoczęliśmy nauki nasze w Wiewiórce, wsi do parafii zasowskiej należącój. Kościoła w téj wsi nie ma, ale będąc upoważniony przez JW. księdza biskupa tarnowskiego, wielką, nowo wymurowaną owczarnię, na pięknem wzgórzu położoną, która przeszło cztery tysiące ludzi mieścić mogła, przeistoczyliśmy na kościół. Pięknie piaskiem i zielonym szuwarem wysławszy, urządziliśmy dwa ołtarze: jeden Sgo

Michała, a drugi Matki Boskiej. W pośrodku tego improwizowanego kościoła stała ambona, po bokach konfesyonałów kilka. Sciągniętych wonnemi, sosnowemi zieleniały gałęziami. Tak urządziwszy i poświęciwszy to miejsce, o milę od Nagoszyna odległe, wyruszyliśmy z Przenajświętszym Sakramentem i procesyami. Każda procesya z swoim proboszczem, z rozwitemi chorągwiami, które wiatr przy pogodnem niebie rozdymał. Ze wzgórza na wzgórze ciągnął się ten orszak, któremu sam Bóg przewodniczył, w największym porządku, cichości i przykładności. Tysiące głosów cześć i chwałę Bogu oddawało pobożnemi pieśniami, których echo wiatr po rozległych roznosił polach. — Słońce promienistym blaskiem przyświecało Panu i Stwórcy swemu. Gdyśmy się już zbliżali do Wiewiórki, na przeciwległej górze zaświeciły chorągwie i tysiące białych sukman, wpośród łąk i niwek zielonych, wskazały nam procesye, od parafii zasowskiej i jastrzębskiej do Wiewiórki idące. Pochyleniem chorągwi jedni drugich powitali i te dwa liczne oddziały ludu, na chwałę Boga zebranego, potężnemi głosami podając sobie słowa pieśni nabożnych, w jedno jakby serce spłynęły; jakby za umówionym znakiem, w jednej chwili stanęliśmy

przed drzwiami tego kościoła, do którego po raz pierwszy Bóg wstępował. Zastaliśmy tu nie mało osób z sąsiedztwa przybyłych. Ksiądz bernardyn, prowadzący procesyą, wystawił Przenajświętszy Sakrament na ołtarzu i zaintonował grzmiącym głosem: „Święty Boże!“ któremu cały lud zamiast organów wtórował, że aż mury nowego tego wstrzęsły się kościoła, a cały lud, w około otaczający kościół, gdyż i połowa, miejsca nie miała wewnątrz, padłszy na kolana, towarzyszył pieśni świętej. Po odśpiewanych suplikacjach, wstąpiłem na ambonę i stósowną miałem naukę do téj tak uroczystej chwili pierwszego przybycia Boga w te mury, w pośrodek ludu swego, zastósowaną, która powszechnie łzy i westchnienia w sercach ludzi obudziła. Po nabożeństwie i błogosławieństwie Przenajś. Sakramentem, w największej cichości, lud rozchodzić się począł; jedni z bliskich wiosek do domu, a drudzy z dalszych stron przybyli, szukając sobie legowiska na noc, pod cieniem drzew porozrzucanych, po miedzach rozległych pól dookoła. Pomieszkanie mieliśmy z księdzem dominikanem, karmelitą i wikaryuszem zasowskim w małym, dworskim budyneczku, który szczęśliwie ocalonym został w czasie rozru-

chów. Dwór z innemi budynkami zrujnowany był zupełnie. Z okna mieszkania naszego w prostej linii widzieć można było lampkę, zapaloną przed przenaświętym Sakramentem, a ten widok tak błogo do duszy naszej przemawiał, bo lampka gorzeć się zdawała, jako gwiazdka przed słońcem. Ktokolwiek z katolickiem sercem przechodził drogą, na widok tego, jakby z nieba spadłego kościoła, musiał poczuć wewnętrzne wzruszenie i poczułi to mieszkańcy miejscowi i okoliczni nadzwyczaj licznie się zbierając i jakby witając nowo przybyłego wpośród siebie Boga nie z gniewem i przekleństwem, ale z błogosławieństwem i zlitowaniem dla upokorzonych i skruszonych. A gdy po raz pierwszy, odkąd ta wioska stoi, dzwonek na wzgórzu na wysokości żerdzi zawieszony, na Anioł-Pański zadzwonił, i czystym głosem przynosić się zdawał z wieczorną rosą pozdrowienie i błogosławieństwo Boga Rodzicy, to ci nawet, co może wezwania nigdy wprzód nie zważali, pomimowolnie ugięli kolana i modlili się. Taka jakaś wewnętrzna radość i pokój malowała się na twarzach przychodzących na to teraz tak święte miejsce. Dobrze, swobodno i błogo było nam tu nad wszelki wyraz, i te ośm dni przeszło

lotem błyskawicy. Codziennie miewaliśmy po dwie nauki rano i w wieczór, a spowiedzi przed 10. — 11. wieczorem nigdy nie można było ukończyć i nazajutrz się odkładało. Nie powtarzam tu o tak przykładnem i wzruszającym zachowaniu się ludu, o znakach żalu i skruchy, które okazywał, słowem tu, gdzie najmniej spodziewano się skutków, Bóg łaskaw i miłosierny okazać się raczył. Lecz zbliżał się dzień zakończenia misyi w Wiewiórcę i prac naszych tegorocznych. Była to Niedziela. Rano, już z brzaskiem dnia najpogodniejszego, po wszystkich drogach i ścieżkach snuł się, ciągnący się do Wiewióрки w procesyach lud przy odgłosie śpiewów pobożnych, to pojedynczo, to mniejszemi i większemi kompaniami, od białych sukman i koszul, pola z daleka, jakby śniegiem pobielale, okrywały się. Ranne uroczyście dwoma naukami, jak zwykle ukończyło się nabożeństwo. O ćwierć mili od tego miejsca, jest karczma w pośrodku czterech, krzyżujących się dróg, dziś pusta, opuszczona z rozwalonemi ścianami, powybijanemi szybami u okien; ale krwawą w całej okolicy pamiątką wsławioną. Tu albowiem jednej nocy zwieziono i zamordowano około 24 osób. Gdym tam był, ściany téj karczmy

krwią zbryzgane, czerniały. Przed samą tą karczmą, w pośrodku rozstajnych dróg, umyśliłem na smutną i bolesną pamiątkę owej strasznój nocy, krzyż wystawić misyjny i po raz ostatni do ludu przemówić. Po południu, około czwartej godziny, ruszyliśmy z Wiewiórki w procesyi z ludem, którego przeszło na dwanaście tysięcy liczono. Cała przestrzeń od karczmy aż do Wiewiórki ludem zasłana była. Włościanie nieśli potężny krzyż, największy porządek panował w tym tłumie widocznie wzruszonego żalem, wstydem, boleścią przejętego ludu, osobliwie na widok téj karczmy, od której oczy odwracali. Jako świadek okropnych zbrodni szyderczo patrzała na nich, jakoby piekielne z otworów jej wyzierały poczwary. Poświęcony zwykłym poświęceniem krzyż, wzniósł się nagle w górę, a w téj chwili słońce zachodzące, z po za czarnej wyzierając chmury, rzuciło ostatnie promienie na blaszany wizerunek Zbawiciela, co wszyscy obecni z nie małym dostrzegli podziwieniem i uszanowaniem, odbite od krzyża promienie z ognistym blaskiem spłynęły na karczmę i chmura ciemna zasunęła słońce, niebo się pokryło i tylko w dali błyskawice z głuchym grzmotem przyświecały. Lud roztasował się na rozle-

głóm błoni, na którém powozy, bryczki i wozy licznie się zebrały. W pośród białych siermiąg czerniły gęste żaloby. Wtem przez te tłumy ludu przedziera się wóz z umierającą niewiastą. Mój towarzysz pobiegł ją spowiadać; w czasie poświęcania i wystawienia krzyża śmierci także chciała być przytomną temu, jakby pogrzebowemu obchodowi. Wstąpiłem na ambonę, między karczmą a krzyżem wzniesioną. Wzruszony w głębi duszy przemówiłem do ludu, wskazując mu karczmę, przypomniałem mu zbrodnie jego, — wskazując na krzyż, opowiadałem miłosierdzie Boga dla tych, którzy przez płacz, pokutę i poprawę tego miłosierdzia godnymi się staną. Jakby iskra elektryczna przeszła wszystkie serca, cisza, która w całym zgromadzeniu panowała, przeszła w jęki, stumione łzy i westchnienia. Dobyłem ostatnich sił, korzystając z tego usposobienia umysłów i wymówiwszy *Amen*, jakby odgłos dalekiego grzmotu westchnienia pomalu gubiły się. Gdym zeszedł z ambony, lud błogosławił, dziękował, do nóg się rzucając, iż zaledwie dosieść dozwolił bryczki. Nazajutrz, odprawiwszy mszę Ś. ostatni raz w tym ukochanym kościółku, wróciłem do Tarnowa (zostawiwszy księdza K. do słuchania

spowiedzi) gdzie poczekawszy parę dni, nim bracia nasi z Radgoszczy wrócili, przybyłem do Lwowa.

I na tem kończę ten długi list podług życzenia i rozkazu R. P. Pisałem na prędce, wiele szczegółów opuściwszy, które pisaćemu na pamięć nie przyszły, lub które dla rozmaitych przyczyn zamilczeć musiałem. Zasłony, która te wszystkie bolesne wypadki pokrywa, odchylić nie mogę, lecz przyjdzie czas, gdzie się spełnią owe słowa, którem na początku położył: „Judex autem cum sedebit, quicquid latet apparebit, nil inultum remanebit.“ Pojedyncze osobiste przygody, pociechy, krzyżyki, przez któreśmy przechodzili, w obręb tego sprawozdania nie wchodzi. Bogu za wszystko niechaj będzie chwała, cześć i dzięki. Am.

13. Lipca 1847.

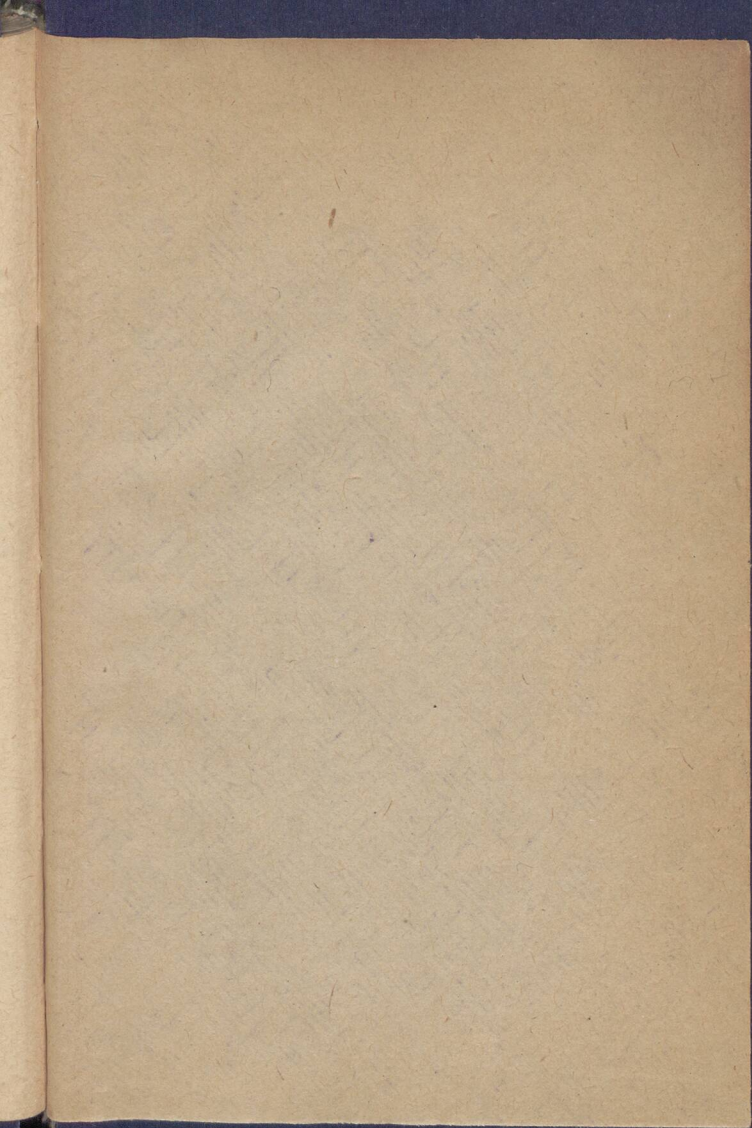
W księgarni Nowej Poplińskiego w Poznaniu.

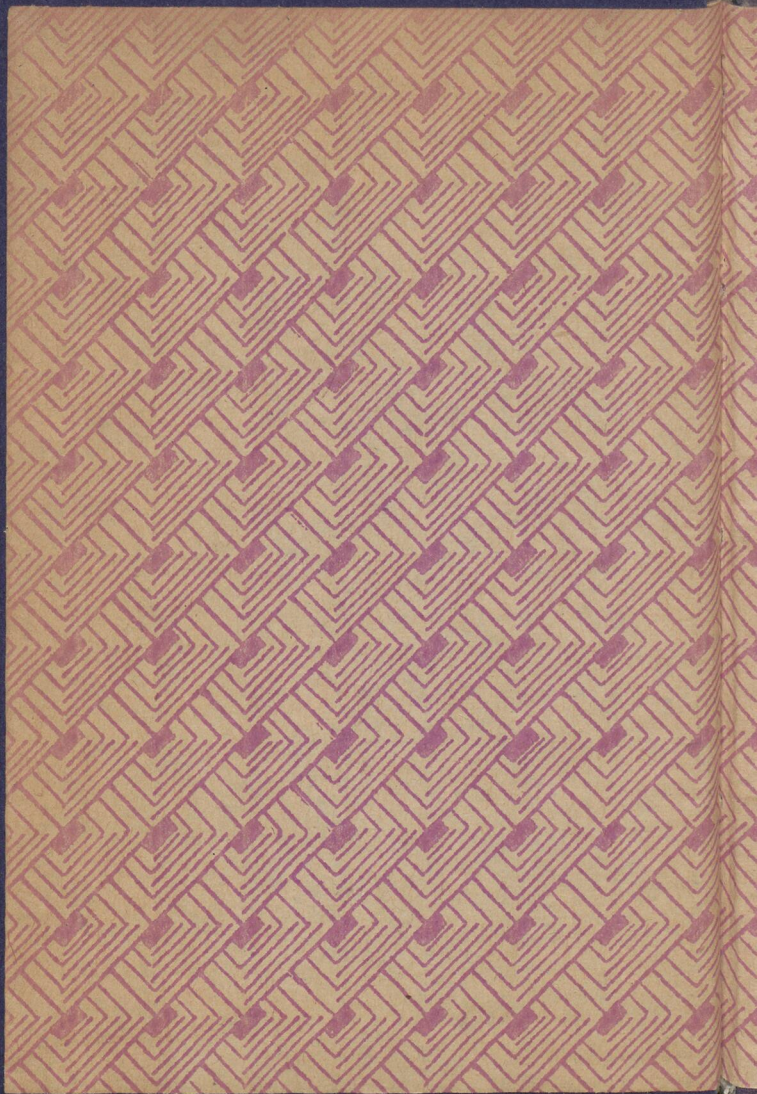
wyszły z druku następujące dzieła:

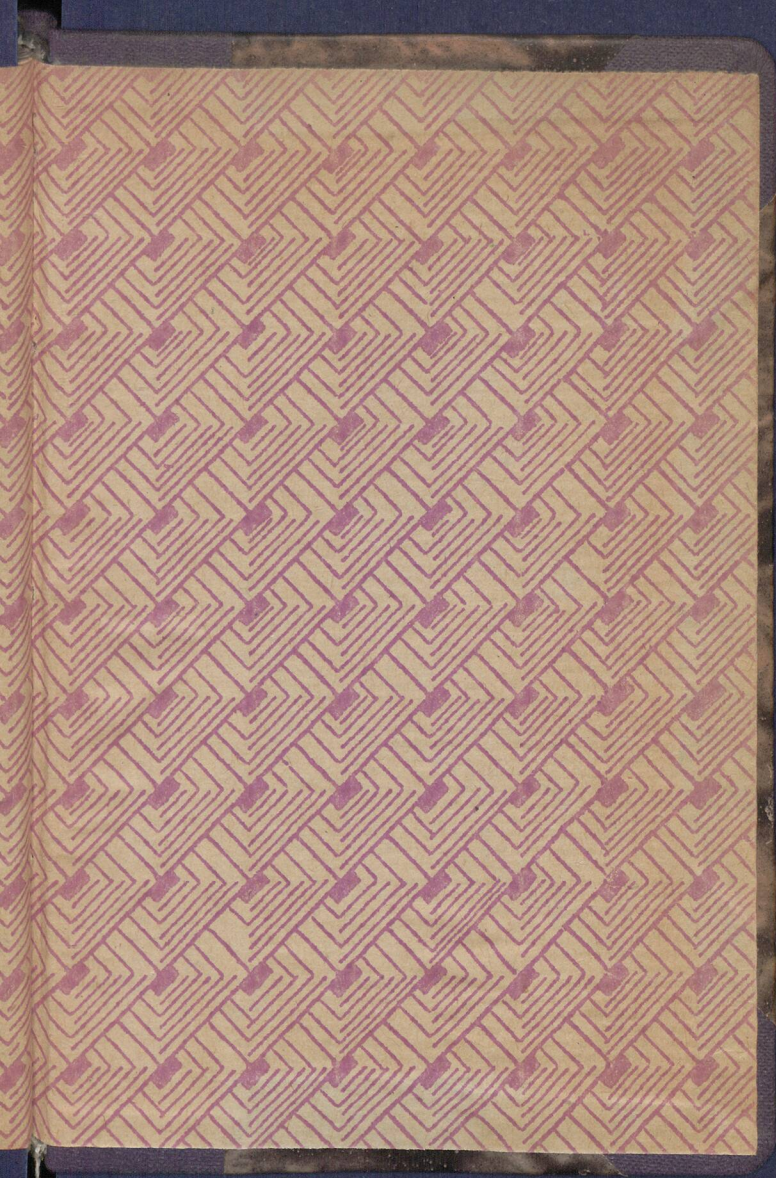
	tal. śg.		tal. śg.
Dzieje i Prawa Kościoła		Orańskiego Wspomnie-	
Polskiego przez X.		nia 2 tomy	1 20
Ostrowskiego 3 tomy.	2 10	Obraz Panowania Zyg-	
Biografia Lenartowicza — 5		munta III.	2 —
Gramatyka łacińska mn. — 20		Historya Jana Kazimie-	
Elementarbuch der pol-		rza 2 tomy.	4 —
nischen Sprache.	12 1/2	Poezye Zbigniewa Mor-	
Przykłady na Quarte		sztyna.	1 —
podług Augusta.	12 1/2	Poezye Wasilewskiego. —	20
dito na Quintę.	12 1/2	Piosnki Ludu Wielko-	
dito na Sextę. — 7 1/2		Polskiego z rycin.	1 15
Historya Powszechna		Dzieła Czackiego 3 T. 12 —	
Staroż. poszyt I i II.	1 10	Kronika Wigand p. Hr.	
Hist. pow. T. 2gi Iposz. — 10		Raczyńsk. Voigta	2 —
Jeografia starożytn. Pol. — 10		Pamiętniki X. Kitowi-	
Jeog. p. Seltena mniej. — 12		cza 3 tomy.	1 15
Wybór Prozy i Poezyi		Obraz Polaków 16 to-	
p. Poplińskiego.	20	mów, to jest.	8 —
Katechizm Schmidta	10	Tom 1—3 Pamiętniki	
Słowo Boże p. Wujka. — 10		Kitowicza Oddział I.	1 15
Treść religii X. A. R. — 6		Tom 4—5 dto Wybi-	
Okłazyk nowy	15	ckiego	1 15
Magnuszewskiego Nie-		Tom 7—10 O Obycza-	
wiaści Polska	1 15	jach Kitowicza	2 —
Marchockiego Pamiętki.	1 —	Tom 11—12 Pamiętni-	
Müllerowe Pamiętniki. — 12		ki Kollataja	1 —
Poselstwo Zym. III.	12	Tom 13ty Materyały do	
Portofolio Maryi Ludwi-		Stanisł. Leszczyńskiego — 15	
ki 2 tomy.	3 —	Tom 14 Konfederacya	
Bautenstrauch Miasta		Tarnogrodzka	15
Góry Doliny 5 T.	4 —	Tom 15 Bunt Ukraiński — 15	
Satyry Opalińskiego	20	Tom 16 Pam. Kościu-	
Statut Litewski Dzia-		szki i t. d.	15
łyńskiego.	7 15	Pomysły o Harmonii.	10
Chowonna p. Trento-		Obraz miasta Pozna-	
wskiego 2 tomy.	3 —	nia 2 tomy.	4 —
Demonomania dito	20	Zywoty sławnych Pol.	1 —

	tal. śg.		tal. śg.
Zywot Xcia Bogusła- wa Radziwiłła.	— 20	Zywoty SS. Pańskich.	7 6.
Opis rzezi humańskięj.	1	Zywot człowieka poczi- wego Reja	2
Słowo o poświęce. p S G.	15	Kilka Nauk prawnych.	2
Zycie Stęj Genowefy	5	Wykład Nauki chrze- ściańskięj Belarmina	15
Zbiór Ustaw landszafto- wych.	1	Charaktery Rozumów ludzkich.	1 10
Siedmiu mędrców, po- wieść arcyciekawa	10	Prelekeye Mickiewicza o Literat. sławiańskięj	
Rady Patroniuszowe 2 T. p. L. Siem.	1	4 Tomy	5 7 6.
Słownik Łacińsko-polski		Mochacki o Literaturze	1
Z Węlewskiego.	2	Dziesięć Kazań mianych w Wilnie.	1
Wspomnienia Missyjne		Irydion Krasieńskiego	1 15
X. Antoniewicza	6	Wilczka Kazania 2 T.	2
Vademecum ad Infirmos	5	Mętlewicz Kaza. 4 T.	4 20
Książka do Nabożeństw.		Antoniewicza Nauki i	
Dunina mniejsza	15	Mowy.	20
Rożaniec zwywy.	1	Antoniewicza Poselstwo	
Goffni Zbiór Dzieł Ka- tolickich 5 T.	1 10	duchowe.	15
Droga do życia pobo- żnego Fr. Salez.	15	Pieśni Nabożne	2 6.
Ustawy życia poboż.	5	Wiesław Brodzińskiego	5
O Naśladow. Chrystusa.	10	Los Sieroty.	6
Gorzkie żale	1	Kaplica w lesie	7 6.
Biblioteka Klassyków		Starzec z gór.	7 6.
(Plinius Hist. Natu- ralna po pol. i po łaci.	15	Owoce wychowania	20
Orędownik od 1841-46.		Dzieci Wdowy	7 6.
Rocznik po	8	Wierność i Litość	12
Dzieła Komisowe:		Roża z Tannenberg.	12
Jaskinia Beatusa. 2 T.	25	Pierścionek	6
Dobry Franuś	10	Pisma S. Augustyna.	15
		Wybór Kazań X. Tyca	
		2 Tomy	1 15
		Kazań X. Kajsiewicza I.	1









**Wypożycza się
tylko do czytelní**